

# SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU

## Długi marsz i szybki skok

BOGDAN LIS

❖ pracownik zakładów Elmor w Gdańsku, od 1978 r. działał w Wolnych Związkach Zawodowych. W sierpniu 1980 r. przewodniczący Komitetu Strajkowego w Elmorze, następnie wiceprzewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, jeden z sygnatariuszy porozumienia gdańskiego. Członek władz Regionu Gdańskiego i Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. 1982–1984 członek TKK oraz RKK w Gdańsku. Aresztowany 8 czerwca 1984 r., zwolniony 8 grudnia 1984 r. Ponownie aresztowany 13 lutego 1985 r. z Władysławem Frasyńnikiem i Adamem Michnikiem podczas spotkania TKK z Lechem Wałęsą, skazany na 2,5 roku więzienia, zwolniony we wrześniu 1986 r. na mocy amnestii. Od 1986 r. członek TRS, od 1987 r. KKW NSZZ Solidarność. Uczestnik negocjacji Okrągłego Stołu. 1989–1991 senator z województwa gdańskiego, od 2007 r. poseł.

Byłem członkiem Komisji Krajowej NSZZ Solidarność i Prezydium Zarządu Regionu Gdańskiego<sup>1</sup>. Funkcjonowałem w kierownictwie Solidarności w taki sposób, by łączyć środowisko Andrzeja Gwiazdy i grupę Lecha Wałęsy. Miałem bardzo dobry kontakt z Gwiazdą, bo przecież razem żeśmy pracowali w Wolnych Związkach Zawodowych, tyle czasu w jednym zakładzie pracy... Przyjaźniłem się z nim i widziałem, że w wielu przypadkach Gwiazda ma rację. Ale miałem też świadomość, że niszczenie autorytetu Wałęsy, który wypracowywaliśmy po to, żeby służył Solidarności i Polsce, jest bez sensu. Dlatego nie opowiadałem się jasno ani po jednej, ani po drugiej stronie, bo wtedy bym się zaszufładował. Starałem się działać tak, by zarówno Gwiazda, jak i Wałęsa mieli zwornik, dzięki któremu mogli przekazać pewne myśli. Jeżeli od siebie nie chcieli odbierać, to od kogoś innego mogliby.

Na Komisję Krajową w grudniu 1981 r. przyjechałem z Brukseli, gdzie uczestniczyłem w jakimś kongresie. Byłem niewyspany, zmęczony, posiedzenie KK 11 grudnia trwało do późnych godzin nocnych, 12 grudnia też. Wyszedłem ze Stoczni Gdańskiej chyba po godzinie dwunastej razem z Andrzejem Gwiazdą. Potem się rozeszliśmy. Ja poszedłem pieszo do domu, a on musiał jechać. Widziałem po drodze wozy ZOMO. Niosłem teczkę z widocznym napisem „KK NSZZ Solidarność”. Samochody wypełnione milicjantami jechały, zawracały na ulicy, jechały z powrotem. Traktowałem to jako manifestację siły. To był bardzo gorący okres, poza tym milicja prowadziła akcję zwalczania spekulantów, których komuniści oskarżali m.in. o to, że w Polsce jest źle, nie ma towarów, bo oni wykupują itd. Działy inspekcje robotniczo-chłopskie, ogłoszono też, że milicja będzie intensywnie poszukiwać przestępców. Sądziłem, że te samochody z milicją na ulicach mają nas zastraszyć.

Wróciłem do domu i położyłem się spać. Pół godziny później walnęły drzwi, przyszedł Rysiek Zając, członek Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ Solidarność, mój kolega, z informacją, że źle się dzieje, hotel Monopol jest otoczony przez milicję, powinienem uciekać. Wygonił go. – Daj se spokój, człowieku, jestem zmęczony, ile razy będą nas straszyć... Idź w diabły – tak mówię do niego i kładę się spać.

Za pół godziny przyszedł znowu. Powiedział, że klub Ster, gdzie mieściły się biura Komisji Krajowej i Regionu Gdańskiego, otoczony, wygarniają ludzi. Jak to usłyszałem, to się ubrałem i dałem dyla.

Najpierw pojechaliśmy do Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy pogotowiu ratunkowym (Rysiek był samochodem). Zabraliśmy materiały, które były do za-

<sup>1</sup> Tekst na podstawie relacji sporządzonej przez Piotra Adamowicza w październiku 2003 r. Relacja została wykorzystana przez Andrzeja Friszkego w artykule *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)*, [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. idem, Warszawa 2006. Zob. też w tymże tomie: K. Knoch, *Regionalna Komisja Koordynacyjna w Gdańsku w latach 1982–1989*. (red.)

brania, i pojechaliśmy do pewnej dziewczyny, Krystyny Olszewskiej. Mieszkała w Gdyni, w rejonie placu Kaszubskiego. To było moje pierwsze konspiracyjne mieszkanie. Ona pracowała w Sekretariacie Służby Zdrowia, liczyłem, że bezpieczeństwa ma ważniejszych ludzi, ważniejsze sprawy i do niej nie zajrzy. Mieszkałem tam dwa-dzieścia parę dni.

\* \* \*

Spodziewaliśmy się, że na zapowiedzianym posiedzeniu sejmku w grudniu 1981 r. rząd dostanie specjalne uprawnienia i z nich skorzysta, np. wprowadzi zakaz strajków. Zaakceptowalibyśmy to jako metodę walki z nami. Mogliśmy się z tym nie godzić, mogliśmy protestować, planowaliśmy akcje przeciwdziałające, ale to była pewnego rodzaju norma. Stan wojenny nie był normą. Stanu wojennego nie przewidzieliśmy, choć przypuszczaliśmy, że będziemy musieli zejść do podziemia, działać w konspiracji. Prezydium Zarządu Regionu Gdańskiego powołało trzyosobowy zespół – ja, Jacek Kłys, trzeciego nie pamiętam, może Jan Samsonowicz – żeby przygotować się na wypadek braku możliwości legalnego działania. Mieliliśmy doświadczenie z okresu WZZ.

Dostaliśmy zadanie, by przechować sprzęt, pieniądze, papier, farby drukarskie, wszystko, co potrzebne do funkcjonowania organizacji, i zaczęliśmy to robić. Mieliliśmy też wyciągnąć pieniądze z banku, podobnie jak to zrobił Józef Piniór we Wrocławiu, tyle że sądziliśmy, iż wszystko będzie później, nie 13 grudnia, dlatego nie zdążyliśmy... Piniór pospieszył się i udało mu się te osiemdziesiąt milionów wyciągnąć. Myśmy zaczęli wybierać pieniądze powoli, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nie chcieliśmy wszystkich wtajemniczać, a dokumenty finansowe mogły podpisywać określone osoby. A jeszcze te konflikty między Gwiazdą a Wałęsą powodowały szczególną sytuację. Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek oskarżał nas o to, że mamy zamiar pieniądze przejąć dla siebie.

Potem się okazało, że nic nie zostało przygotowane – struktura, poligrafia ani pieniądze. Po 13 grudnia trzeba było wszystko organizować od zera.

Stan wiedzy był słaby. Oczywiście wszystkie media były odcięte. Informacji o tym, co się działo w kraju, nie docierały, mogliśmy jedynie słuchać Radia Wolna Euro-

pa i Głosu Ameryki. Nie mogłem się sam poruszać, bo byłem znany publicznie. Dopiero później ogoliłem brodę, wąsy, włosów od razu nie. Musiałem korzystać z informacji zdobywanych przez innych, początkowo przez Ryśka Zajęca i Piotra Mierzewskiego (może ja z nimi obydwoje od razu jechałem 13 grudnia<sup>2</sup>). Pierwsza informacja, że Stocznia Gdańska strajkuje.

W stoczni powstał Krajowy Komitet Strajkowy – z tych członków władz Związku, którzy nie zostali internowani i tam się znaleźli. Oni zgodnie z wcześniejszą uchwałą Komisji Krajowej podjęli decyzję, że przemianowują się w komitet strajkowy. Jan Waszkiewicz, Mirosław Krupiński, Eugeniusz Szumiejko, Andrzej Konarski, Aleksander Przygodziński, a także Bogdan Borusewicz...

Chciałem iść do stoczni. Traktowałem to także w kategoriach obowiązku. Pytałem się Ryśka Zajęca i Piotra Mierzewskiego, jakie są możliwości przebicia się. Strasznie mi to odradzali, twierdząc, że w stoczni siedzą ludzie i strajkiem ma kto kierować; powinien ktoś pozostać na zewnątrz – na wypadek gdyby strajk został rozbity i wszystkich wyłapano. Mieli swoją rację, ja tę rację rozumiałem, choć powiem szczerze, że to było bardzo trudne, bo chciałem być tam, gdzie koledzy. Poza tym ja miałem doświadczenie, większe niż np. Mirosław Krupiński (wiceprzewodniczący NSZZ Solidarność), który nigdy w życiu strajkiem nie kierował... Postanowiłem nagrać na taśmie magnetofonowej oświadczenie.

Także Zbigniew Bujak ukrywał się w Gdańsku poza stocznia. Zajęca i Mierzewskiego dotarli do niego (później pomagali mu wyjechać do Warszawy). On też chyba wysłał do stoczni jakieś oświadczenie... Dostałem od Ryśka i Piotra list od Bujaka z jego oceną sytuacji, z której wynikało, że nie wolno wchodzić na stocznia, trzeba być na zewnątrz, żeby w razie czego funkcjonować.

Nagrałem na kasetę dwa oświadczenia i przez łącznika przekazałem do stoczni, do Waszkiewicza. Mówiłem o tym, że jest Bujak, jestem ja; nie wiedziałem, kto jeszcze, ale przypuszczałem, że są też na wolności inni ludzie. (Uważałem, że reprezentuję pewien autorytet i powinienem powiedzieć parę słów, które wyjaśnią, co trzeba robić, jak się zachowywać). Mówiłem, że nie należy dopuścić do sytuacji, w której będą do nas strzelać – nie można iść ze sztchetami na czołgi. Jeżeli dojdzie do interwencji, to po prostu trzeba sobie

<sup>2</sup> Potwierdza to Piotr Mierzewski. (red.)

odpuścić. Przed nami jest długa droga, trzeba się raczej na to nastawić... Pewnie się tam też jakieś komunały znalazły, bo nie da się mówić samych mądrych rzeczy. Ale generalne przesłanie było takie, że nastąpił atak na nasz Związek. W czasie, który przeżyliśmy jako Solidarność, poznaliśmy smak wolności i tego nam nikt nie wydrze. Będziemy się o to bić dalej. Czekają nas długie drogi, ale na końcu jest zwycięstwo. I że nie należy dać się zabić. Takie przesłanie wysłałem do stoczni. Piotr Mierzewski, który funkcjonował głównie w Akademii Medycznej, twierdził, że to zostało wydrukowane metodą powielaczową i w jakiś sposób rozpowszechnione, ale ja tego nie widziałem.

Stocznia po trzech dniach została spacyfikowana przez ZOMO, komitet strajkowy przeniósł się do Portu Gdańskiego. Miałem kontakt informacyjny z portem, natomiast ani ludzi tam nie wysyłałem, ani informacji, bo dla mnie było jasne, że jeżeli stocznia padła, to strajk się załamał. Wiedziałem też, że komuniści zrobią wszystko, żeby w stoczni strajku nie było, bo to dla całego kraju symbolizowało opór. Wszystko inne było mniej ważne.

\* \* \*

Starałem się w tych pierwszych dniach nie wychodzić. Na dłuższy spacer wybrałem się chyba w pierwszy dzień świąt, 25 grudnia. Pojechałem do Gdańska. To brawura, ale musiałem zabrać z domu mnóstwo rzeczy. Chciałem też poinstruować rodzinę, co ma robić. Wymyśliłem sobie, że jeżeli dom jest obserwowany, założony podsłuch (z samej obserwacji niewiele wynika), to Służba Bezpieczeństwa potrzebuje określonego czasu, żeby wejść do domu. Razem z Krystyną Olszewską przyszedłem przez las do domu w pierwszy dzień świąt. Kompletnie zaskoczyłem rodziców. Zabrałem rzeczy, swoje zdjęcia, na których byłem bez brody – nie chciałem, żeby wpadły w ręce bezpieki. Powiedziałem rodzicom, co mają zrobić z tym, co zostało i wyszedłem.

Borusewicz, ja, Bujak, byliśmy znani, bezpieka miała nasze zdjęcia, rozesłała listy gończe... Musieliśmy się zmienić tak, żeby – po pierwsze – oni nas nie poznawali, po drugie – żebyśmy my mieli świadomość, że oni nas nie poznają, i żeby się w związku z tym zachowywać naturalnie, pewnie, nie skakać w krzaki czy do klatki schodowej na widok policji.

Zmienialiśmy wygląd. Ja zgoliłem brodę, Borusewicz zapuścił. Nosiłem okulary (zerówki) w rogowej oprawce. Ale podstawową rzeczą było to, jak się człowiek ubiera i jak chodzi. Musieliśmy zmienić sposób chodzenia, sylwetkę, bo nawet jeżeli dla ubeków to nie odgrywało większej roli, było ważne dla osób, które nas bardzo dobrze znały – rodziny, przyjaciół – i mogły rozpoznać nas nawet z tyłu. Wielokrotnie mijałem brata czy krewnych na ulicy i oni się nie zorientowali, że koło nich przeszedłem. Nigdy przecież nie wiedziałem, czy nie są obserwowani przez SB, dlatego nie mogli mnie poznać.

\* \* \*

Uważałem wtedy, że trzeba pokazać, iż chociaż w kraju nie ma strajków, nadal istnieje opór. Nie wystarczy rzucić ulotek. Należy zrobić coś, co się odbije szerszym echem. Zastanawialiśmy się na początku stycznia 1982 r. – ja, Piotr Mierzewski, Rysiek Zajac, jeszcze jeden mężczyzna... nie pamiętam nazwiska, bo to incydentalna znajomość, Rysiek Wyszomirski też był w to zaangażowany. Padł pomysł, aby odbić zatrzymanego przez bezpiekę i przebywającego w szpitalu Akademii Medycznej Mirosława Krupińskiego, który był wiceprzewodniczącym Komisji Krajowej, a więc osobą formalnie prominentną. Pierwsza rzecz, to trzeba było zobaczyć, czy on jest autentycznie chory, czy tylko symuluje chorobę. Wydawało się, że jest lekko chory, ale bardziej symuluje, chociaż atak ZOMO na stocznię jakoś tam psychologicznie na niego zadziałał i szmery serca rzeczywiście są. Uznaliśmy, że to nic groźnego i można go stamtąd zabrać.

Leżał chyba na pierwszym piętrze. Pod drzwiami stali ubecy, ale w środku nie, sprawdziliśmy, jak go pilnują. Krat w oknach również nie było. Plan był taki, żeby dostarczyć mu za pośrednictwem służby zdrowia linę do pokoju, a on wieczorem najnormalniej w świecie po tej linie spuści się o określonej godzinie. Na dole czekali ludzie, zaprowadziliby go do mieszkania, w którym mógłby się schować.

Dostaliśmy od niego odpowiedź, że boi się o serce, nie wie, czy będzie w stanie iść. No to postanowiliśmy, że w takim razie podstawimy sanki i go wywieziemy, byleby tylko się spuścił po linie. To jedyny wysiłek, jaki musi zrobić, potem weźmiemy go na sanki, zawieziemy gdzie trzeba, do samochodu itd. On odmówił. No, na siłę nikogo nie będziemy porywać.

Po miesiącu wyraził jednak zgodę, ale to już nie miało sensu. Mieliśmy już zupełnie inne problemy na głowie. Akcję przygotowuje się w określonych warunkach. Po miesiącu to myśmy zaczęli organizować Regionalną Komisję Koordynacyjną NSZZ Solidarność w Gdańsku i tego rodzaju akcje musiały być konsultowane już w trochę innym kręgu...

\* \* \*

W grudniu 1981 r. siatka kontaktów wyglądała słabo, dopiero się tworzyła. Odezwali się do mnie Szumiejko i Konarski, ale nie chciałem żadnych kontaktów, nie wierzyłem im w tym czasie – oni utworzyli Ogólnopolski Komitet Oporu (OKO), podpisywali się pseudonimami „Mieszko” i ktoś tam. Z góry odrzucałem możliwość funkcjonowania pod pseudonimem. Mógł się pod nim kryć każdy. A więc odrzucałem całe to OKO, bo to bardzo podejrzanie wyglądało. Okazało się później, że Konarski był agentem, a Szumiejko uciekł z ubeckiego „kotła”.

W styczniu spotkałem się z Borusewiczem. Kilka tygodni później, w lutym, zorganizowaliśmy spotkanie z Aleksandrem Hallem. Poszliśmy po dawnych kontaktach WZZ-etowskich i opozycyjnych sprzed 1980 r., bo mieliśmy do siebie zaufanie. Każdy z nas organizował sobie sam strukturę, własną łączność. Mieliśmy osoby, które wiedziały, jak nas kontaktować, natomiast nie znały struktury całej siatki.

Działacze Ruchu Młodej Polski funkcjonowali w Solidarności, stanowili trzon kadry Komisji Krajowej i Zarządu Regionu Gdańskiego, traktowaliśmy ich jako środowisko solidarnościowe. Ale tak naprawdę to przeszłość przedsiębiorstwa zaważyła na tym, w jaki sposób zapadały decyzje na początku, kiedy tworzyły się struktury podziemia. Ja mogłem mieć zaufanie do Bogdana, do Olka, oni mogli mieć zaufanie do mnie, bo przeszliśmy długi i trudny okres. Do innych osób też miałem zaufanie, ale to już nie było to samo, bo zaufanie wynikające z działania w okresie legalnego istnienia Solidarności to coś zupełnie innego niż to, jakie myśmy mieli, sprzed Sierpnia.

Istotna była oprócz tego struktura, którą każdy z nas stworzył. Za Olkiem stał Ruch Młodej Polski, na-

wet jeżeli nie wszyscy się w to zaangażowali; Bogdan miał swoich ludzi, ja miałem swoich, mogliśmy na nich polegać. Ten krąg się rozszerzał, ja nie znam wszystkich osób, które dla mnie pracowały.

Na tym lutowym spotkaniu rozmawialiśmy o powołaniu do życia gdańskiego biuletynu „Solidarność” (redagowali je Mariusz Wilk, Bernadetta Stankiewicz, Magdalena Modzelewska i Maciej Łopiński), o zmontowaniu sieci kolportażu, zbieraniu informacji, pieniędzy. To jest najważniejsze, dlatego że zawsze wokół pisma skupiają się ludzie. Jak organizowaliśmy WZZ, był „Robotnik Wybrzeża” i „Robotnik” korowski, dwie gazetki, które docierały do pracowników. Dostał jeden, dostał drugi, czytał, przekazał dalej, zdobywał kolejnych czytelników, potem ta grupa ludzi się spotykała, zaczęli dyskutować, coś się z tego rodziło. Nie mieliśmy radia, telewizji. Ulotka, gazeta wydawana w podziemiu to jedyna możliwość kontaktowania się z ludźmi. Musieliśmy to zorganizować, to była podstawowa rzecz.

Zaczęliśmy organizować podziemie w naszym regionie. Jeśli funkcjonowały gdzieś struktury zakładowe, to potem do nich docieraliśmy. Gdzie nie funkcjonowały, a byli ludzie, to próbowaliśmy struktury zakładowe zakładać. Organizowaliśmy podziemie po to, żeby był widoczny opór.

Mieliśmy świadomość, że nas trzech to za mało, trzeba wciągnąć więcej osób. Chociaż oczywiście każdy z nas miał obawy. Do Portu Gdańskiego i Portu Gdyńskiego mieliśmy więcej zaufania niż np. do Stoczni Gdańskiej. Tam w konfliktach między Gwiazdą czy prezydium Regionu Gdańskiego a Wałęsą skupiali się działacze Stoczni Gdańskiej wątpliwego autoramentu; po prostu nie wiedzieliśmy, kto tam naprawdę odgrywa główną rolę.

Analizowaliśmy to pod kątem radykalizmu antykomunistycznego z okresu przed 13 grudnia, szukaliśmy ludzi, co do których moglibyśmy mieć gwarancję, że są bezkompromisowi, odważni. Odwaga wtedy miała istotne znaczenie, także to, czy ktoś ma rodzinę, bo jak się ma dzieci, to jest trudniej.

Z Portu Gdańskiego wzięliśmy Mariana Świtka<sup>3</sup> i Stanisława Jarosza<sup>4</sup>. 16 marca 1982 r. wydaliśmy wspólnie oświadczenie o tym, że działamy w podziemiu. Potem się okazało, że udział Jarosza to nieporozumienie; on

<sup>3</sup> 12 II 1983 r. został aresztowany. Skazany przez Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni na 6 lat więzienia, zwolniony w sierpniu 1984 r. na mocy amnestii. (red.)

<sup>4</sup> Aresztowany 30 VIII 1982 r. Skazany przez Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni na 4 lata więzienia, zwolniony w sierpniu 1984 r. (red.)

się bał, nie działał, raczej się ukrywał, do tego na wsi, za Gdańskiem, więc trudno było liczyć, że nawiąże jakieś kontakty z pracownikami. Ja nigdy nie mieszkałem poza Trójmiastem; funkcjonowałem w Gdańsku, Sopotcie, Gdyni, cały czas miałem kontakt z ludźmi. Świtek też był na miejscu, więc mógł więcej zrobić.

Gdańska Regionalna Komisja Koordynacyjna powstała 6 maja 1982 r., wtedy, kiedy już wiedzieliśmy, jak ma wyglądać organizacja oporu w kraju: będzie TKK i komisje regionalne. Postanowiliśmy o tym wcześniej na spotkaniu TKK w Warszawie – Bujak, ja, Władek Frasyniuk, Władek Hardek, no i kilku innych<sup>5</sup>. Ustaliliśmy, że nie tworzymy jednolitej struktury. Powstaną autonomiczne struktury w poszczególnych regionach, tak by nawet poważna wpadka w jednym regionie nie powodowała konieczności zmiany wszystkiego w całym kraju. Wokół regionalnych komisji koordynacyjnych będzie tworzona siatka organizacyjna.

Największym problemem było poruszanie się, myśmy wtedy jeszcze nie posługiwali się fałszywymi dokumentami i byle kontrola milicyjna mogła skończyć się wpadką. Dopiero jesienią 1982 r. stworzyliśmy w Gdańsku centrum legalizacji, przygotowujące dokumenty dla osób ukrywających się. To był problem, dyskutowaliśmy, czy w ogóle robić coś takiego jak fałszowanie dokumentów.

W początkowym okresie po powstaniu RKK nawiązaliśmy łączność ze Stoczną Gdańską, Elmorem, portami, Hydrosterem, Unimorem, Stoczną Remontową, ze stoczną Nauta – z dużymi zakładami, bo na tych głównie nam zależało. Nie kontaktowaliśmy z nimi bezpośrednio, ale wysyłaliśmy łączników na spotkania komisji zakładowych. Komisje zakładowe dostawały informacje, papiery, ulotki itd. od określonego ogniwa, które z nami miało kontakt. To była potencjalnie jedna z bardziej zagrożonych działalności, do komisji bezpieczeństwa mogła wprowadzać agentów. Musiała być jakaś bariera, dzięki której ci ludzie nie wiedzieli, jak do nas dotrzeć. To myśmy do nich docierali, choć niektóre zakłady miały z nami bliższy kontakt, np. mój zakład, Elmor. Dobry kontakt z nami miała też służba zdrowia, mogliśmy ukrywać ludzi w szpitalach, na oddziałach. Rysiek Zajac

był ze służby zdrowia, Ryszard Wyszomirski, jego żona, Krystyna Olszewska, Roma Zawistowska – bardzo dużo im zawdzięczam. Dzięki nim miałem możliwość funkcjonowania, a także leczenia się w razie potrzeby.

Dzisiaj to brzmi jak bajka, ale wtedy żeby jeść, trzeba było mieć kartki na żywność. Kartki dostawały osoby zameldowane i pracujące (wręczano je w zakładzie pracy). Także benzyna była na kartki. Nie wystarczyło mieć pieniądze, trzeba było mieć jeszcze coś, co przysługiwało tylko tym ludziom, którzy żyli na powierzchni.

Spotykaliśmy się z tajnymi komisjami zakładowymi, ale staraliśmy się to robić bardzo rzadko, bo to było bardzo niebezpieczne. Ci ludzie nie umieli działać konspiracyjnie, nie mieli doświadczenia, ale także chyba – tak dzisiaj to oceniam – po prostu nie dorastali do tego, co w tamtym okresie w konspiracji trzeba było robić.

Kiedyś poszedłem na spotkanie z Tajną Komisją Zakładową Stoczni Gdańskiej, na Przymorze, jesienią 1982 r., już po nieudanym strajku, po delegalizacji Solidarności. Zawsze staraliśmy się umawiać w hali, żeby maksymalnie dużo ludzi było, jechać rano, tak jakby do pracy, godzina 6–7, żeby być w tłumie, wracać po 14–15. To była zasada, chociaż nie zawsze stosowana. Wysiadłem z tramwaju, idę na to spotkanie, po drodze widzę idącego przede mną człowieka. Od razu się zorientowałem, że on konspiruje, choć go nie znałem. No – idę za nim, bo domyślałem się, że zmierzamy w to samo miejsce. Specjalnie zostałem trochę z tyłu. On wszedł do budynku, ja za nim, on na górę i ja na górę. Wszedł do mieszkania. Odczekałem chwilę, zobaczyłem, co się dzieje, zapukałem i wchodzę – a tam cała Tajna Komisja Zakładowa Stoczni Gdańskiej, sześć-siedem osób, bardzo przerażona. Myślałem, że to ubek wszedł do środka. Bo ten, który szedł przede mną, powiedział, że ktoś go śledzi, za chwilę tu będzie. No i czekali, że za chwilę przyjdzie ubecja i ich aresztuje. Otworzyli mi drzwi...

Ja w życiu bym tego nie zrobił. Ktoś, kto działa w konspiracji, jeżeli widzi, że jest obserwowany, to nie idzie do lokalu konspiracyjnego. Ucieka jak najdalej, żeby wyprowadzić tego, kto go śledzi, w zupełnie inne miejsce. Nie można więc było polegać na przestrzeganiu

<sup>5</sup> Spotkanie, na którym założono TKK, odbyło się około 20 IV 1982 r. w domu Lucyny Winnickiej na Żoliborzu w Warszawie. Obok przywódców czterech regionów uczestniczyły w nim Ewa Kulik, Barbara Labuda, Helena Łucywo i Joanna Szczęsna (A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)* [w:] *Solidarność podziemna...*, s. 25–26). (red.)

zasad konspiracyjnych przez komisje zakładowe. Musieliśmy mieć własne zasady, dzięki temu to funkcjonowało.

Każdy z nas w RKK miał swoje zadania – w zależności od tego, co się wtedy działo. Ja się zajmowałem przede wszystkim kontaktami zagranicznymi, pozyskiwaniem pieniędzy od partnerów zagranicznych. Potem także organizacją sieci kontaktów międzyregionalnych, miałem ludzi, którzy te kontakty utrzymywali. Borusewicz nie miał kontaktu z regionami, choć oczywiście gdyby trzeba było, to by wiedział, jak do nich dotrzeć. I Olek Hall nie miał. Borusewicz i Hall mieli możliwości związane z drukiem i kolportażem i głównie tym się zajmowali. „Borsuk” oprócz tego odpowiadał za kontakt z częścią tajnych komisji zakładowych w Gdańsku, bo w pierwszym okresie funkcjonowała u nas koncepcja strajku generalnego, dzięki któremu wszystko się przewróciło do góry nogami i komuniści zostaną zmuszeni do odwrotu. Potem, w 1983 r., ta koncepcja padła i bezpośrednie kontakty z zakładami już były mniej potrzebne. Utrzymywaliśmy je tylko po to, żeby przekazać prasę.

Jeszcze myśleliśmy w maju 1983 r. – 1, 3 maja – że uda się ludzi zmobilizować, ale już nie było takiej wiary jak w 1982 r., do momentu delegalizacji Solidarności i tego wszystkiego, co się działo wokół ogłoszonego przez TTK na 10 listopada 1982 r. strajku generalnego. Wymusiło to zmianę patrzenia na to, w jakim sensie możemy tę batalię wygrać. Na początku był krótki marsz, potem zamieniono go na długie.

Spotykaliśmy się w RKK początkowo minimum raz w miesiącu. Zawsze w lokalach konspiracyjnych, nigdy tam, gdzie mieszkaliśmy. W miarę umacniania się organizacji, do 1984 r., potrzebowaliśmy spotkań tylko wtedy, gdy musieliśmy przedyskutować jakiś ważny problem. Kontaktowaliśmy się przez łączników oraz listownie i w ten sposób uzgadnialiśmy, co mamy robić, niekoniecznie potrzebne były do tego spotkania. Potem organizacja wskutek aresztowań osłabła.

RKK raczej nie miała doradców. Zwracaliśmy się do różnych osób, pytaliśmy o zdania, o opinie, o przygotowanie pewnych materiałów, ale nie nazywaliśmy ich

oficjalnie doradcami. Nie był to stały zespół. Gdy chodziło o działania związane z prawem pracy, pytaliśmy np. Leszka Kaczyńskiego, a także komisje zakładowe, szczególnie w Porcie Gdańskim. Pamiętam, kiedy szykowały się nowe układy zbiorowe pracy, oni przygotowali bardzo obszerny materiał dotyczący tego, co tak naprawdę znaczy zmiana tych przepisów. Jeżeli chodziło o inne sprawy, to zazwyczaj ściągałem swoich łączników merytorycznych, czyli Ryśka Wyszomirskiego, Ryśka Zajęca, „Kazika” (nie pamiętam nazwiska), Piotra Mierzewskiego. Oni przynosili informacje od ekspertów. Jasia Posmyk była głównym łącznikiem kontaktującym mnie z krajem.

Mierzewski chyba tylko przez pół roku funkcjonował, potem wpadł<sup>6</sup>. Ja byłem bardzo zorganizowany, punktualny, a on nie. Wszystkich przyzywałem do tego i uczyłem, nauczyłem nawet Borusewicza, żeby na spotkanie ze mną przychodzili punktualnie, bo dwie minuty później już mnie tam nie było. Umawialiśmy się w różnych miejscach, szczególnie na ulicy i nie mogłem się długo kręcić na skrzyżowaniu. Zegarki musieliśmy mieć zsynchronizowane, przychodziliśmy na czas.

Skład RKK był w miarę stały. Kiedyś Borusewicz postanowił poszerzyć RKK o przedstawiciela jednej z komisji zakładowych. Ja byłem przeciwny, nie ufałem mu. Nie podobał mi się. Ale Bogdan mu ufał, twierdził, że on jest w porządku... I dwa tygodnie po tym, jak wprowadziliśmy go do RKK, on się ujawnił. Prawdopodobnie go złapali, albo może rzeczywiście się sam ujawnił, może był agentem, nie wiem. Wystąpił w telewizji. Tak się skończyło poszerzanie RKK o ludzi, co do których nie do końca wszyscy mieli zaufanie. Potem Borusewicz był bardziej ostrożny.

Wychodziliśmy z założenia, że zarówno członkiem RKK, jak i TTK może zostać tylko ten, kto ma swoje nazwisko. I dopóty, dopóki ja byłem członkiem TTK i RKK, czyli do momentu aresztowania, taka zasada obowiązywała. Dla ludzi, którzy otrzymują od nas komunikat, musi być jasne, że firmuje to ten i ten, a nie – nie wiadomo kto. Potem – już jak siedziałem w więzieniu – ponieważ jednak były aresztowania, a wiele osób chciało działać, m.in. Lech Kaczyński, Jacek Merkel, lecz

<sup>6</sup> Został internowany w połowie 1982 r. w Kwidzynie. Następnie aresztowano go 12 VI 1984 r. i oskarżono razem z Bogdanem Lisem o zdradę ojczyzny za kontakty z Międzynarodową Organizacją Pracy i związkami zawodowymi za granicą. Zwolniono go wraz z Lisem dopiero 7 XII 1984 r. (władze nie chciały objąć ich amnestią z września tr.). (red.)

nie pod własnymi nazwiskami, to dopuszczono możliwość, że jakaś część członków RKK posługująca się pseudonimami jest uwiarygodniana przez tych, którzy działają pod nazwiskiem.

Wraz z rozwojem konspiracji powstawały nasze służby specjalne. Jan Krzysztof Bielecki już od przełomu zimy i wiosny 1982 r. kierował w Gdańsku grupą, która cały czas prowadziła nasłuch działań SB, śledziła ube-ków, obserwowała miejsca przez nich obserwowane. Bo myśmy czasami nie wiedzieli, kogo oni obserwują, ale wiedzieliśmy, że są. Ważna była informacja, czy chodzi o kogoś, kto ma z nami kontakt, czy o kogoś z zupełnie innego środowiska, z innej grupy. Jeżeli o kogoś od nas, to znaczy, że grozi nam niebezpieczeństwo, nas również mogą obserwować, a jeżeli nie od nas, to staraliśmy się jakoś tę inną grupę ostrzec. Czasami nie wierzyli i wpadali, czasami wierzyli i udawało im się uciec.

Ja miałem z nim kontakt i Borusewicz, przez łączników oczywiście. Po moim aresztowaniu ta grupa musiała się troszeczkę wyłączyć, gdyż zaczęło być wokół nich bardzo gorąco. Ale wtedy pojawił się „Kelner”, czyli Janusz Granatowicz i jego grupa, która organizowała spotkania TKK; oni przejęli system od Bieleckiego. Przede wszystkim różne punkty ruchome i stacjonarne – skanery zamontowane w mieszkaniach (ja też miałem w domu duży skaner do przeszukiwania fal, cały czas chodził i zatrzymywał się w momencie, kiedy podawano komunikaty ubeckie) i w samochodach, które jeździły po Gdańsku. Nadajniki i odbiorniki tak były poustawiane, żeby można było odróżnić rozmowy, które są nadawane poniżej stu metrów i te nadawane z centrali czy z samochodu z dalszej odległości.

Robiliśmy dokumenty dla osób ukrywających się. W Gdańsku ukrywało się niewielu. Ja co trzy, cztery miesiące zmieniałem nazwisko – i dokumenty. Przygotowywaliśmy dokumenty także dla Wrocławia, dla Warszawy... Zbieraliśmy dowody osobiste, prawa jazdy, dowody rejestracyjne samochodów, karty urlopowe. Kupowali to nasi ludzie w różnych regionach. Warszawa musiała mieć dowody warszawskie, my – dowody gdańskie. To były dokumenty już wypełnione, z nazwiskami itd. Zmieniało się tylko zdjęcie i osoba, która dostawała dowód, musiała się nauczyć swojej nowej tożsamości. Mielśmy specjalne metalowe pieczętki, które wytłaczały na zdjęciu określony znak. Bo taką pieczętkę zrobić, która korzysta z tuszu, to żaden problem...

Mielśmy autorytet kierownictwa Związku, jeżeli coś ogłaszaliśmy, to ludzie starali się to wykonać. Cud działalności podziemia wynikał właśnie z tego, że mieliśmy moralny placet na wiarygodność; jeżeli do czegoś nawołujemy, do czegoś mobilizujemy ludzi, należy to robić, bo to jest dobre. Dlatego nie mogliśmy działać pod pseudonimami.

Choć komisje zakładowe posiadały własne struktury, różne, ułomne czasami, wykonywały jednak nasze zadania, dlatego że uznawały nas za faktyczne kierownictwo Solidarności. I dlatego do RKK mógł należeć Olek Hall, choć wcześniej w kierownictwie Związku nie działał. Opierało się to na autorytecie, wiarygodności.

Wiadomo było, że ja jestem członkiem TKK, więc jeżeli ktoś się kontaktował z Gdańskiem, to nie tylko z zamiarem porozumienia się z regionem, ale także z TKK. To się wiązało z dodatkowymi możliwościami – pozyskania sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Z Wielkopolski, Słupska, Koszalina przyjeżdżali, prosili nas o pomoc w zorganizowaniu drukarni. Niezbyt często, bo ograniczaliśmy te kontakty. Nie chcieliśmy wpadki. Jeżeli wiedzieliśmy, że ktoś chce się spotkać, w porządku, ale sami organizowaliśmy spotkanie, na naszych zasadach.

Ludzie, którzy się nie ukrywali, funkcjonowali na powierzchni, bali się spotykać z nami, bo myśleli z kolei, że ponieważ się ukrywamy, to nas szukają i łatwo przy tej okazji wpaść. Było zupełnie odwrotnie. My byliśmy bezpieczni bez kontaktu z osobami z zewnątrz. Ochrona przed Służbą Bezpieczeństwa polegała przede wszystkim na obserwacji Służby Bezpieczeństwa, jej nasłuchu, analizie rozmów prowadzonych przez radio. Udawało się ustalić wtedy czasami osobę lub miejsce, które jest obserwowane, a następnie analizowano, czy w tym miejscu znajduje się coś, co się z nami wiąże. Jeżeli z nami, to wiedzieliśmy, co robić, jeżeli nie z nami, to staraliśmy się ostrzec ludzi, że są obserwowani.

Ja miałem odbiornik radiowy z kilkoma częstotliwościami fal. Nosiłem go w specjalnie uszytej kurtce, w kieszeni wewnętrznej, słuchawkę w uchu... Radio odbierało w promieniu 200 metrów – to, co mówili ubecy, którzy znajdowali się w pobliżu. Oprócz tego miałem tak skonstruowane ubranie, że mogłem się w ciągu kilku sekund przebrać, wyglądając inaczej. Nosiłem kurtkę dwukolorową i dwustronną czapkę. Gdy wpadł Janusz Pałubicki (przewodniczący tajnego Regionu Wielkop-

skiego Solidarności), łączniczka, która kontaktowała mnie z Poznaniem, została namierzona przez bezpiekę. Znała Joasię Posmyk, czyli moją główną łączniczkę z krajem. Ona wiedziała bardzo dużo o strukturze podziemia i gdyby w razie wpadki zmusili ją do mówienia, byłoby bardzo źle. Postanowiłem się z nią spotkać i namówić ją, żeby zeszła do podziemia i kompletnie się ukryła. Przewidywałem, że będzie obserwowana przez bezpiekę, a tylko ja mogłem się z nią spotkać, bo tylko ja ją znałem. Zorganizowałem to spotkanie w Sopocie. Ona wyszła z pieskiem na spacer. Zorientowałem się, że naokoło jest rozstawionych z pięć samochodów Służby Bezpieczeństwa. Ona szła ulicą do góry, a ja wyszedłem z lasu i tą ulicą zacząłem iść na dół. Miałem przy sobie radio, słyszę ubeków, którzy mnie prowadzą: „Jedyńka...” – czy coś w tym stylu, i podają, jak jestem ubrany. Nikt za mną nie szedł, tylko przekazywali mnie sobie przez nadajniki. Ja po drodze przetrzuciłem kurtkę na drugą stronę i wyszedłem już w innym kolorze. Oni zaczęli się konsultować – ja to wszystko słyszę: „Nie wychodzi, nie wychodzi”, „No, jak nie wychodzi, już dawno powinien wyjść”, „Nie. Wyszedł, ale inny jakiś, w innej kurtce”... Przekazują mnie kolejnemu. Zdjąłem czapkę, już byłem bez czapki. Miałem długie buty do kolan, spodnie wpuszczone do środka, więc spodnie wyjąłem, włożyłem na kozaki, kozaków już nie miałem... Trzy razy po drodze zmieniałem wygląd, doszedłem do ulicy Armii Czerwonej, spotkałem się z Joasią, rozmawiałem z nią przez dwie minuty i skoczyłem do lasu. Zaczął się ruch zaraz później, bo zorientowali się, że coś jest nie tak, choć nie bardzo wiedzieli co: szły jakby trzy różne osoby... Samochody zaczęły jeździć, ale ja już byłem w lesie, stałem na górze i patrzyłem, co się dzieje. Jej nie zatrzymali, a ja po prostu przez las poszedłem parę kilometrów dalej, gdzie czekał samochód.

To przykład, jak system ochrony przed bezpieką, który człowiek sobie sam zorganizuje, i wiedza o tym, jak SB działa, daje pewnego rodzaju zabezpieczenie. Oczywiście – mogli mnie zwinąć bez względu na to, jak wyglądałem, czy byłem w takiej kurtce, czy innej, na wszelki wypadek.

„Borsuk” też miał radio, prowadził nasłuch. Myślę, że każdy z nas organizował sobie według własnego pomysłu ochronę przed bezpieką. Poza tym mieliśmy informacje bezpośrednio od ludzi, którzy w SB funkcjonowali, współpracowali z nami – od Adama Hodysza, od Piotra

Siedleckiego. A także od osób, które miały kontakt z jakimś ubekiem – choć ubek nie wiedział, kim one są – i wyciągały różne informacje. Podchodziliśmy do tego ostrożnie, bo mogły to być informacje podawane celowo, jeżeli byłby zorientowany, z kim ma do czynienia.

Czasami serce skakało do gardła... Czasem się bezpośrednio natykałem na ubeków. Raz przeszukanie zrobili w mieszkaniu, w którym się ukrywałem, dzień przed wigilią Bożego Narodzenia. Leżałem na materacu pod zwiniętą kołdrą. W ustach już miałem ampułkę z adrenalinami... Piąte piętro, wieżowiec, dom cały obstawiony, uciec się nie dało. Weszli do domu, przeszukali lodówkę, szafę, kanapę, wersalkę, wszystko... Ja do dzisiaj nie wiem, czy ten ubol, który wszedł do środka, widział mnie czy nie. Ja go widziałem. To był damski pokój, prawie pusty, nie było światła (żarówka wykręcona). Leżały duże materace, ze trzy, jeden na drugim, a więc nic pod spodem nie można było schować – może to mu zasugerowało, że nic nie ma. A może mnie widział, ale postanowił wyjść.

\* \* \*

W pierwszym okresie po 13 grudnia 1981 r. nie kontaktowaliśmy się z OKO, znaczy myśmy na nich – na Konarskiego i Szumiejkę – kontakt mieli, ale oni na nas nie. Wiedzieliśmy, gdzie się ukrywają, że są obserwowani przez bezpiekę – i sądziliśmy, że to jest „kocioł” na nas. Po jakimś okresie, gdy się zorientowaliśmy, że prawdopodobnie zostaną zdjęci, ostrzeżliśmy ich. Oni nie bardzo wierzyli, że są obserwowani, w końcu doszło do tego, że Szumiejkę bezpieka chciała zdjąć, on uciekał po piorunochronie, pokaleczył się. A Konarski zniknął. Prawdopodobnie umieścili go w jakimś ciepłym gniazdku, żeby mógł robić swoje, czyli donosić. To miało zresztą krótkie nogi, bo informacja od nas od razu poszła dalej, już nie bardzo miał możliwość działania.

Ogólnopolski Komitet Oporu powstał po tym, jak Krajowy Komitet Strajkowy został przez bezpiekę rozwalony. A nie – że zapadła decyzja Krajowego Komitetu Strajkowego o powstaniu OKO. Szumiejko tak to interpretował, ale niczego takiego nie było.

Myślę, że późniejszy ciąg zdarzeń udowodnił, że OKO nie było żadną alternatywą dla tego, co my chcieliśmy robić. Przede wszystkim w 1982 r. w Polsce żadna konspiracja postępująca się pseudonimami nie miała szans



powodzenia, gdyż nie była wiarygodna dla ludzi. Należało podeprzeć się autorytetem i nazwiskiem; myśmy wyszli z tego założenia i okazało się, że mieliśmy rację. Myśmy funkcjonowali, a OKO przestało istnieć. Praktycznie nigdy nie zaistniało, oprócz tego, że wydali dwie ulotki, i to jeszcze chyba drukowane przez bezpiekę. Nasze działania były słuszne.

Podziemie się buduje tak, jak na to sytuacja pozwala. I było budowane zupełnie niezależnie na dole i od góry. Na dole tam, gdzie rodził się opór. Przybierał on różne formy, czasami organizacyjne, czasami ludzie reagowali tylko na to, co się dzieje. Natomiast myśmy na poziomie RKK i TKK założyli, że musimy stworzyć strukturę. Można powiedzieć, że był budowany zupełnie niezależnie tunel, który się gdzieś tam zbliżał do siebie, ale wcale nie chcieliśmy, żeby się połączył. Musiał być rozdzielony, żeby w razie wpadki nie doszło do likwidacji wszystkich struktur. Dlatego nie dążyliśmy do zhierarchizowania podziemia.

Na przełomie 1982 i 1983 r. bezpieka zlikwidowała ostatnią samodzielną grupę, tzw. Drugą Krajówkę. Zainstalowali się w Gdańsku, kilka osób, to nie byli znani działacze. Nie chcieliśmy z nimi kontaktów. Uznaliśmy, że to ambicjonalne poczynania ludzi, którzy kompletnie nie mają doświadczeń konspiracyjnych, możliwości ani kontaktów. To była grupa skazana na pożarcie. To może brutalnie brzmi, ale myśmy rozdawali karty i nie interesowało nas poszerzanie możliwości czy naszych struktur przez organizacje, które powstawały wtedy jak grzyby po deszczu. Sami chcieliśmy od początku organizację budować, dlatego że wtedy mogliśmy trzymać nad nią kontrolę. Nad tym, co bierzesz z zewnątrz, co już istnieje, nie masz kontroli, nie wiesz, jak zostało zorganizowane, kto tam funkcjonuje. To zbyt duże ryzyko.

Odrzucaliśmy możliwość wschodzenia w nasze struktury ludzi, którzy się nam narzucali. Sami dobieraliśmy współpracowników. Natomiast organizację budowaliśmy jako kadrową, nie masową; wąska grupa, która kieruje, nadaje ton wydarzeniom, jest w stanie podejmować decyzje, nie musi dyskutować tygodniami, miesiącami...

\* \* \*

TKK powstała w kwietniu 1982 r. na spotkaniu w Warszawie. Działacze regionalni – czyli w przypadku Gdań-

ska Borusewicz, Hall i ja – podjęliśmy decyzję, że wchodzimy jako region do struktury TKK, a ja osobiście wchodzę do TKK jako jej członek. Podobnie z Krakowa wszedł Hardek, z Warszawy Bujak, z Wrocławia Frasyński. Wszyscy występowali w imieniu regionu, mieli upoważnienia. Natomiast Szumiejko nie reprezentował regionu; występował jako wolny strzelec<sup>7</sup>.

Ustaliliśmy, że jedyną formą działania są niezależne struktury organizacyjne w poszczególnych regionach, promieniowanie na okolice tymi strukturami. Polityka zagraniczna powinna być w jednym ręku, ale jeżeli regiony utrzymują kontakty z zagranicą, to mogą z nich korzystać w kwestiach finansowych. Pieniądze, poligrafia – to jest potrzebne w różnych miejscach, dlatego powstają regionalne komisje koordynacyjne. Na razie ustaliliśmy regiony, w których te komisje powstają: Kraków, Wrocław, Gdańsk i Warszawa, z możliwością, że mogą powstać też gdzie indziej. Chodziło głównie o Toruń (mieliśmy tam kontakt z Antonim Stawikowskim), Poznań (tu był Janusz Pałubicki, a także grupa młodych ludzi, którzy chcieli z nami współpracować). Chcieliśmy działać jak najszerzej, ale co chcieliśmy, a co mogliśmy, to są dwie różne rzeczy. Próbowaliśmy w Szczecinie, na Śląsku mieliśmy informacje od Jerzego Buzka. Potem na Śląsku się pojawił, ni stąd, ni zowąd, Tadek Jedynek, a po jego aresztowaniu Jan Andrzej Górny (okazał się później agentem), który jednak nie funkcjonował w TKK, gdyż nie chciał podawać nazwiska.

Warunki, które narzucaliśmy, powodowały, że nie wszyscy się decydowali. Gdy musieli podać nazwisko, to się nie decydowali z obawy przed konsekwencjami. Jeżeli ktoś był agentem czy miał coś na sumieniu i ludzie o tym wiedzieli, to po ogłoszeniu nazwiska dotarłyby do nas informacje, z kim mamy do czynienia. Jeżeli z kolei ktoś rzeczywiście, autentycznie chciał działać, to musiał się liczyć z represjami wobec rodziny itd., więc też nie każdy się odważył. Dlatego to kryterium było bardzo trafne. Dawało nam pewien komfort działania wśród ludzi, którzy są gotowi na wiele, i było bardziej bezpieczne.

W podziemiu organizacja musi być kadrowa, a nie masowa. Gdyby była masowa, to byśmy wszyscy siedzieli. Więc nie szukaliśmy współpracowników wszędzie, tylko po prostu mieliśmy swoich ludzi. Jeżeli trzeba było coś powiększyć, to wtedy się zastanawialiśmy, kto ze struk-

<sup>7</sup> Podpisywał się pod oświadczeniami jako członek Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. (red.)

tur, które już funkcjonowały, się do tego nadaje. Tak naprawdę decyzje podejmowali zupełnie niezależnie ci, którzy kierowali tymi strukturami.

Skład zmieniał się tylko po aresztowaniu. Region delegował do TKK w takim sensie, że dana osoba działała w regionie, natomiast my musieliśmy ją zaakceptować. Dochodziło nawet do konfliktów. Na przykład Marek Muszyński we Wrocławiu – działał po aresztowaniu Frasnyniuka, Piotra Bednarza i Józefa Piniora. Miał pseudonim „Witold”. Szumiejko chciał, żeby go wprowadzić do TKK. On się teoretycznie ukrywał, ale nie chciał ujawnić nazwiska. Powiedzieliśmy: nie! Kilka razy pod komunikatem TKK umieściliśmy informację: w posiedzeniu wzięli udział przedstawiciel Dolnego Śląska pseudonim „Witold” – i to wszystko. Nie podpisywał dokumentów TKK jako jej członek, bo nie chciał ujawniać nazwiska, a my nie godziliśmy się na podpisywanie komunikatów TKK pseudonimem.

Spotykaliśmy się dwa razy w miesiącu, a czasem raz na dwa miesiące, zależnie od potrzeb. Zazwyczaj były to spotkania dwudniowe. 80 procent spotkań odbyło się w Gdańsku. Mieliśmy dobrze przygotowaną bazę, łącznie ze strukturami bezpieczeństwa. Ale organizowaliśmy też spotkania we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie. Region czasem bardzo chciał, żeby przyjechać, spotkać się – dowartościować ludzi z określonego miejsca. Poza tym chcieliśmy ich mobilizować od strony organizacyjnej. Jeżeli miało się odbyć spotkanie, to wokół tego grupa ludzi musiała się napracować – przynosiło to pozytywny efekt.

Kilka spotkań było w Węsierszach na Kaszubach. Tam znajdowało się kilka domków – jeden miał ojciec Krzyszka Pusza, następny Krzysiek, Andrzej Pusz, Rysiek Pusz, mogła tam spać duża grupa osób. Na większe spotkanie ściągaliśmy łączników merytorycznych. Członkowie TKK to minimum 4–5 osób, sekretariat – czyli ludzie, którzy musieli pisać uchwały: Konrad Bieliński, Ewa Kulik, Helena Łuczyno – czasem dwie osoby, czasem trzy. Łącznicy merytoryczni – 2–3 osoby, do tego obsługa, która przygotowywała jedzenie i inne rzeczy. W sumie 15–16 osób. Ochrona zazwyczaj 6–7 osób. To było spore przedsięwzięcie. Organizacją takich spotkań zajmował się „Kelner” – Janusz Granatowicz z Gdańska. Krzysztof Pusz pomagał, jak było trzeba, dawał lokal.

Jedno spotkanie odbyło się na Kociewiu, nie pamiętam, w jakiej miejscowości. Zasadziliśmy tam dąb, pod jego korzenie wkopaliśmy butelkę z dokumentem, że uczestnicy spotkania TKK sadzą dąb i nazywają go imieniem Lech.

Spotkania nie były protokołowane. Nie ma z tych spotkań żadnego zdjęcia, był zakaz. Nie robiliśmy tego przecież po to, żeby dokumentować historię.

\* \* \*

Myślę, że wpływy czterech dużych regionów w TKK były równoważne. Może Kraków mniej znaczył z racji tego, że Hardek był działaczem o mniejszym autorytecie i miał słabsze przebicie. Jego głos był po prostu mniej słyszalny niż Władka Frasnyniuka, Zbyszka Bujaka czy mój. Jak odszedł Hardek<sup>8</sup>, to Jurek Zdrada przyjeżdżał na spotkania, chociaż nie podpisywał oświadczeń swoim nazwiskiem i formalnie nie był członkiem TKK. Uczestniczył w spotkaniach TKK po to, żeby była zachowana łączność z regionem. Jeśli mogliśmy ustalić coś przez łączników, to tak robiliśmy. Nie musieliśmy się wtedy przemieszczać, ryzykować itd. Ale często w różnych sprawach mieliśmy inne zdanie. Czasem polemizowaliśmy, np. ja z Bujakiem w 1982 r. na łamach prasy podziemnej w kwestii: długi marsz czy strajk generalny.

Pomagali nam łącznicy merytoryczni. Odgrywali dużą rolę, nie tylko w posiedzeniach TKK. Myśmy się spotykali po to, żeby podejmować decyzje i ewentualnie się dogadać. Zanim podjęliśmy decyzję, dyskutowali łącznicy merytoryczni, którzy znali stanowiska szefów regionów. Analizowali sytuację, wypracowywali wspólne zdanie. Przede wszystkim byli to Jurek Zdrada, Jerzy Buzek, Michał Nawrocki z Warszawy. Przyjeżdżali, konsultowali, jeżeli była akceptacja, to okey. Jeżeli pozostało jeszcze coś do wyjaśnienia, jeszcze raz się spotykali. Jeżeli różnice zdań były istotne i decyzje mogły zapaść tylko na szczeblu kierownictwa, to się zbieraliśmy i decydowaliśmy. Spotykaliśmy się także po to, żeby omówić sytuację w kraju i zastanowić się, co dalej. Myślę, że w ciągu roku było dwanaście spotkań TKK. Czyli średnio raz na miesiąc.

TKK podejmowała decyzje polityczne oraz decyzje w sprawach nagłych, takich, które wymagały wytyczenia kierunków działania. Jeżeli odzywaliśmy się

<sup>8</sup> Został aresztowany 19 VIII 1983 r. w Pile. Złamany podczas śledztwa przez milicję, wystąpił w telewizji z oświadczeniem potępiającym działalność podziemną. (red.)

w kwestii palenia świec czy czegoś podobnego, to po to, aby pokazać, w jaki sposób manifestować opór i jednocześnie nie trafić za kratki. Staraliśmy się wytyczać drogę i sposób postępowania. Zgodnie z naszym apelem co miesiąc w zakładach pracy były manifestacje, strajki. Nie musieliśmy tego apelu powtarzać, miesiąc w miesiąc trzynastego odbywały się piętnastominutowe strajki – po czym za każdym razem wygarniano kadrę Solidarności z zakładów pracy. Dlatego później wystąpiliśmy do zakładów pracy, żeby tych strajków już nie organizowali.

Wychodziliśmy z założenia, że trzeba popierać wszelkie niezależne inicjatywy, jak np. OKNO (Oświata-Kultura-Nauka). To przecież nie myśmy wymyślili OKNO, ale działacze, m.in. Wiktor Kulerski, a to angażowało określone środowisko – nauczycieli, naukowców, przygotowywali opracowania. W ten sposób pokazywaliśmy, że Solidarność ma też pozytywne propozycje. Wspieraliśmy te działania oddolnie technicznie, finansowo, a także dawaliśmy placet, że to jest coś, co należy traktować poważnie. Nie chcieliśmy tego koordynować w takim sensie, żeby im jakąś „czapkę” nałożyć, natomiast potrzebny był kontakt, by informacja szła w obie strony.

Koordinacja działań podziemia polegała na tym, że my określaliśmy datę i godziny akcji protestacyjnej, by odbyła się w jednym momencie, ale to struktury lokalne decydowały, jaką formę protestu wybiorą – czy będzie to manifestacja, strajk, czy jeszcze coś innego. To oni wiedzą, do czego są przygotowani. Natomiast regiony same podejmowały decyzje dotyczące poligrafii czy spraw organizacyjnych. Nie da się sterować czymś takim z góry – z poziomu TKK, nie mieliśmy przełożenia.

W kwestiach finansowych TKK nie decydowała, gdyż pieniądze były od razu przysyłane w określonym celu: albo dla określonego regionu, albo dla określonej struktury. My zresztą woleliśmy sprzęt niż pieniądze. Braliśmy powielacz, jakieś maszyny, urządzenia, skanery itd. Pieniądze mieliśmy tu, na miejscu. Nie było czegoś takiego jak własny budżet TKK, choć oczywiście potrzebowaliśmy pieniędzy na organizację itd. Wykorzystywaliśmy środki, które docierały do nas z Zachodu, natomiast nie było to najważniejsze w kontaktach z zagranicą. Najważniejsze dla nas były maszyny i urządzenia.

Odpowiadałem w TKK za kontakty zagraniczne, bo zajmowałem się tym przedtem. Miałem kontakty na Brukselę. Przed grudniem byłem szefem działu zagra-

nicznego Solidarności. Miałem kontakty i wiedziałem, jak je odnowić w sposób wiarygodny i bezpieczny, tzn. tak, że nikt po drodze, żaden ubek, w to się nie wmiecha. Wystąpiłem do Rafała Nędzyńskiego, którego dobrze znałem, kasetę z prośbą o odpowiedź (także na kasecie). Zawarłem tam sformułowania, które tylko on mógł zrozumieć. On też nagrał kasetę, nawiązując do pewnych spotkań, zdarzeń. Później, w drugą stronę poszły informacje od Jerzego Milewskiego, Mirosława Chojeckiego, Sławomira Czarlewskiego z Paryża. Oni też potrzebowali jednego kierownictwa w kraju. Ja to wszystko trzymałem, koordynację oddałem Brukseli. Oczywiście miałem mnóstwo protestów z całego świata, od różnych komitetów... Ale dla bezpieczeństwa musiało to być koordynowane i kontrolowane w jeden sposób.

O utworzeniu Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność w Brukseli dyskutowaliśmy na posiedzeniu TKK. Wszyscy się zgodzili, że regiony mogą prowadzić swoje własne kontakty. Jeżeli zaś chodzi o szczebel krajowy, to ma być jeden szczebel polityczny, a nie że każdy sobie rzepkę skrobie. Taka decyzja zapadła w maju 1982 r. W Brukseli mieściła się Konfederacja Międzynarodowych Wolnych Związków Zawodowych oraz Światowa Konfederacja Pracy, dwie centrale związkowe, które najbardziej zaangażowały się w pomoc dla Solidarności. Miałem też tam swoich ludzi, spoza struktury. W ten sposób także nasza firma, czyli Milewski i spółka, mogła działać pod pewną kontrolą. Nie byłem skazany na jedno źródło informacji. Potem te kontakty rozszerzały się na inne kraje.

Kontakty dotyczyły np. spraw technicznych, jak przysyłanie sprzętu, pieniędzy, system korespondencji, szyfry (szyfrowanie korespondencji to także decyzja polityczna). Chodziło też o prezentowanie stanowiska w różnych sprawach. Czy mamy zajmować się np. apartheidem w RPA, przypadkami aresztowań działaczy związkowych? Czy my, będąc w opozycji wobec rządu, walcząc tutaj o wolność, o demokrację, o możliwość działania, jesteśmy w stanie zabierać głos także w sprawach ludzi, którzy są represjonowani gdzie indziej?

Pomoc płynęła z różnych kierunków i z różnych źródeł. Żeby ją oszacować, trzeba by zrobić dokładną analizę poszczególnych regionów. Najprędzej kontakty zagraniczne nawiązał Region Mazowsze – przez Mirosława Chojeckiego, który przebywał w Paryżu. Także Kraków miał kontakty z Francją, głównie związkowe, dzięki różnym osobom z Polski, które tam funkcjonowały.

Transporty szły też do innych regionów, ale w sposób niezorganizowany. Do regionów umocowanych wokół TKK wraz z transportami charytatywnymi szły drukarnie, radiostacje, wiele różnych rzeczy.

Funkcjonowało to wszystko dość sprawnie, choć jest jeden element, który burzy tę ocenę. Łącznością zagraniczną z Gdańską zajmował się bowiem agent bezpieczeństwa – „Junior” (Zdzisław Pietkun). Współpracował ze mną i otrzymał część kontaktów, głównie w Paryżu. Sławek Czarlewski, który pracował w Biurze w Paryżu, był jego kolegą. Natomiast sprzęt stamtąd nie przechodził przez „Juniora”, ale odrębnym kanałem. To, co wysyłano z Paryża, nie wpadało. „Junior” pojawił się w końcu 1982 r. i funkcjonował do mojego aresztowania.

Kontaktowaliśmy się z Zachodem przy pomocy ludzi, którzy wyjeżdżali za granicę. Większość korespondencji przesyłano – w obie strony – w pojemnikach z aerozolami, w piankach do golenia, dezodorantach. Mieliśmy specjalne urządzenia do wypuszczania i ładowania gazu. Żeby zorientować się, czy coś tam jest, trzeba było wypuścić gaz i przepiłować pojemnik. W środku w dwóch, trzech prezerwatywach znajdowały się dokumenty. Większość listów pisano na bardzo miękkiej, cienkiej fizelinie. Przyjeżdżali też łącznicy, zazwyczaj stali (trzy osoby), którzy wiedzieli, co wiozą. Kontaktowałem się z nimi przez Ryśka Zająca i „Juniora”, jeżeli chodzi o Paryż, Ryśka Wyszomirskiego.

Kontaktowaliśmy się raz w miesiącu, czasami dwa razy. W zależności od tego, co się działo. Oni wysyłali także informacje okazjonalnie, przez przygodne osoby, które trafiły do Biura w Brukseli. Czasem mogło być tak, że ten, co przekazywał, nie wiedział, że przewozi informacje. W Polsce wszystkiego brakowało, jeżeli więc ktoś kupił dezodoranty i prosił o przekazanie tego komuś znajomemu, to nie budziło podejrzeń.

Szacunku strat podczas kontaktów z zagranicą chyba nikt nie zrobił. Kiedyś wpadł duży kontener ze sprzętem ze Szwecji. Ewidentna wyspa, bezpieczeństwa to przejęła. Wpadały mniejsze transporty z Paryża. Oni mieli swoich agentów usytuowanych w różnych miejscach. Niekoniecznie musieli dysponować pełną informacją. Mogli dedukować z różnych wiadomości co, gdzie, kiedy. Jeżeli nie wiedzieli co, a tylko – że został wysłany transport charytatywny w taki a taki rejon, to go zatrzymywali, wpadali, piłowali podłogi. A podłoga była nieraz podwójna. Transporty szły do Kościoła, ale przy prze-

kazywaniu listów nie korzystaliśmy z kanałów kościelnych. Z pomocy dyplomatów zachodnich także nie. Jeśli – to tylko z informacji, które dyplomaci przekazywali.

Odzew z zagranicy był za mały na nasze potrzeby. Potrzebowaliśmy więcej sprzętu, były aresztowania, wpadki, ciągle to musieliśmy uzupełniać. Ale brakowało także możliwości przerobowych. Dla regionów, które chciały działać, sprzętu wystarczało. Mogliśmy próbować uruchamiać drukarnie w innych regionach, ale to nic nie dawało – musieli być jeszcze ludzie, którzy potrafiliby zorganizować sieć kolportażu i rozdysponować bibułę w odpowiednie miejsca. Mogliśmy ściągnąć więcej sprzętu i maszyn, lecz był problem ze strukturą.

Jednak pomoc była niewystarczająca także w innym asortymencie – chociażby skanery, krótkofalówki. Nawiasem mówiąc, ściągnęliśmy krótkofalówki, których bezpieczeństwa nie była w stanie namierzyć. Szczególnie przydały się przy organizowaniu spotkań TKK. Część rzeczy robiliśmy sami. Zaczęliśmy produkować mininadajniki radiowe, żeby nadawać audycje radiowe w promieniu 1000–1500 metrów. Produkcja odbywała się w Poznaniu, a potem przenieśliśmy to do Gdańska (robili je elektronicy z Politechniki Gdańskiej). W Warszawie audycje radiowe puszczaaliśmy z dużych nadajników, jeśli one wpadały, ponosiliśmy duże straty – nadajnik kosztował nawet kilkaset dolarów. W Gdańsku przeszliśmy na mininadajniki o zasięgu 1500 metrów, mniejsze od pudełka papierosów; każdy miał inną, ale zbliżoną częstotliwość. Na ulotkach podawaliśmy informacje, o której należy nas słuchać i na jakich częstotliwościach. Ludzie wiedzieli, że będzie nadawała Solidarność i szukali w radiu. Nadajniki, podłączone do magnetofonu, umieszczano na ósmym bądź dziewiątym piętrze wieżowca, w różnych miejscach, a ponieważ miały mały zasięg, pelengatory nie mogły ich szybko namierzyć. W Gdańsku zastosowaliśmy tę metodę jesienią 1982 r. – nadaliśmy przemówienie, które nagrałem w związku ze strajkiem i delegalizacją Solidarności.

Pieniądze z Zachodu kierowano do określonych grup, określonych ludzi. Staraliśmy się jak najszybciej pozbyć odpowiedzialności za te środki, bo przecież baliśmy się rewizji. Długo więc nie leżały w jednym miejscu, przechowywano je tam, gdzie powinny dotrzeć.

Jak potrzebowaliśmy pieniędzy, to pisaliśmy do Milewskiego, jaką sumę ma nam wystać. Żeby mógł się rozliczyć, musiał mieć potwierdzenie, że pieniądze do-

tarły. Specjalne hasło znane jemu oraz tym, którzy nam pomagali, publikowano w prasie podziemnej: naszej gdańskiej „Solidarności”, w biuletynie Stoczni Gdańskiej „Rozwaga i Solidarność” oraz w „Tygodniku Mazowsze”. Jeśli pieniądze przeznaczone dla konkretnego regionu, to domagaliśmy się, żeby region w swoim piśmie umieszczał takie haselka. Wtedy to pismo przesyłaliśmy do Brukseli dla potwierdzenia. My także byliśmy rozliczani z tych pieniędzy.

W Gdańsku mieliśmy specjalną komisję, która uwiarygodniała rzetelność naszych ludzi, coś w rodzaju komisji rewizyjnej. Tworzyli ją ks. Stanisław Bogdanowicz (wówczas proboszcz z Bazyliki Mariackiej w Gdańsku) i cztery osoby świeckie – godne zaufania. Ta komisja dostawała informacje o sumie przekazanych pieniędzy i sposobie ich wykorzystania. Jeżeli przyjmowana była pomoc dla TKK, np. 200 tys. dolarów, to ich nie dostawaliśmy, bo nam tyle nie było potrzebne. Za te pieniądze chcieliśmy sprzęt. Gotówki potrzebowaliśmy do organizowania spotkań; nie były to ogromne kwoty – rzędu 2 tys. TKK dysponowała gotówką w takim sensie, że miała pieniądze za granicą na zakup sprzętu. Na to szło 80–85 procent pomocy kierowanej do Polski. Część tej pomocy szła na utrzymanie Biura w Brukseli i kanałów kontaktowych.

Myśmy wyraźnie mówili, że nie mamy z takimi organizacjami jak Solidarność Walcząca, KPN nic wspólnego, to nie jest nasza metoda walki, nie nasz styl. Odbyło się nawet u jednego z członków TKK spotkanie z Kornelem Morawieckim. Morawiecki uważał, że należy się mu część środków, które dostajemy od zachodnich partnerów, i próbował wymusić na nas podział tych środków. My uważaliśmy, że jak on potrzebuje materiałów, pieniędzy, powielaczy, to niech organizuje sobie siatkę na Zachodzie. A to, co my dostajemy, to przychodzi na działalność pokojową i tylko taką wspieraliśmy.

Jeżeli chodzi o metody działania, to różnic w Solidarności raczej nie było. Co innego Solidarność Walcząca – to była odrębna struktura. Do Grupy Roboczej też mieliśmy stosunek negatywny – uważaliśmy, że prowadzi działalność rozbijacką.

\* \* \*

Do spotkania TKK z Lechem Wałęsą doszło po raz pierwszy w kwietniu 1983 r. Przygotowywaliśmy je przez kilka

tygodni. On był bardzo pilnie strzeżony przez bezpiekę, ale udało się. Spotkanie zorganizował Szumiejko z pomocą kilku osób: Stefana Gumowskiego, Krzyśka Pusza, Andrzeja Kopcia. Lech jechał na spotkanie do Warszawy, tam był umówiony. Esbecy przekazywali go sobie kolejno z jednego śledzącego samochodu do następnego. My przejęliśmy go akurat w momencie, gdy na krótkim odcinku nie było za nim ogona. Mietkowi Wachowskiemu, który go wiozł jako kierowca, Wałęsa kazał jechać dalej i nie oglądać się. Bezpieka nie wiedziała, że w środku już nie ma Wałęsy. Zanim się zorientowali, samochód przyjechał do Warszawy. Na wszelki wypadek przygotowaliśmy kolejne zmiany samochodów.

Spotkanie odbyło się w lokalu na Zaspie w Gdańsku. Brało w nim udział całe TKK plus „Kelner” i jego ludzie, którzy zapewniali bezpieczeństwo. Z łączników merytorycznych był Jurek Zdrada. Chcieliśmy przede wszystkim wyjaśnić sobie role, które mamy odgrywać: my i Wałęsa. No bo Lech pojawił się na wolności (14 listopada 1982 r. został wypuszczony z ośrodka internowania), wyszedł z mamra i nie można było tego nie zauważyć. On był symbolem Solidarności. Musieliśmy więc pewne rzeczy uzgodnić. Na przykład problem sankcji ekonomicznych Stanów Zjednoczonych przeciwko PRL, metody walki, sam Wałęsa – co zamierza robić, chce zejść do podziemia i tam działać czy zostać na powierzchni.

Nie mogę już dziś dokładnie zrelacjonować tego, co mówiliśmy. Sankcji Wałęsa nie chciał publicznie popierać, ale choć my mówiliśmy jasno, że je popieramy, nie atakował naszego stanowiska. Znajdował się w delikatnym położeniu. Oficjalnie sankcjom się nie sprzeciwiał; mówił tylko, że biją także w normalnych ludzi. Tu była różnica zdań.

Wałęsa uważał, że nie ma sensu, żeby schodził do podziemia, bo jest potrzebny – jako szef Związku – na powierzchni. Jego schowanie się ograniczyłoby możliwości Solidarności. Umówiliśmy się również, że w kwestiach wymagających uzgodnień będzie się z nami kontaktował. Sprawy związane z konspiracją, drukiem, organizacją podziemia, kanałami przerzutowymi, pieniędzmi itd. były zastrzeżone dla nas i on nie mógł się wypowiadać. Przyjął to, bo rozumiał, że jesteśmy w sytuacji walki, znał konspirację sprzed sierpnia 1980 r., wiedział, że pewne środki ostrożności są niezbędne. Ci, którzy siedzą w podziemiu i narażają się na więzienie, decydują o tym, jak ta część podziemia ma wyglądać. W to

nie ingerował. Ale też wiadomo było, że nie będzie można uzgodnić stanowiska w wielu sprawach, bo za szybko się dzieją. Dziennikarze przychodzą, pytają i trzeba odpowiadać. Więc Wałęsa odpowiadał, do nas dziennikarz nie mógł dotrzeć. Nagrywaliśmy filmy, co jednak musiało trwać, a kiedy trzeba było szybko reagować, Wałęsa wypowiadał się w swoim imieniu. Akceptowaliśmy to.

Kanał kontaktowy z Lechem mieliśmy przez cały czas. To my decydowaliśmy, kiedy i jak do niego docieramy. On też wiedział, komu może przekazać informacje, jeśli sam chciał się skontaktować. Zazwyczaj przez osoby z komisji charytatywnej. Było to naturalne – ludzie mieszkali obok siebie, sąsiedzi – łatwo było w sposób niezwracający uwagi przekazać pewne informacje. Kontakt z Wałęsą miał Jacek Merkel. W pewnym okresie Leszek Kaczyński też spotykał się z Wałęsą i przekazywał informacje, czasami nawet w imieniu Lecha pewne rzeczy uzgadniał.

To pierwsze spotkanie TKK z Wałęsą było istotne także z tego względu, że chcieliśmy zrobić szumek. I zrobiliśmy. Podobno wszyscy funkcjonariusze zostali ukarani za to, że dopuścili do takiej sytuacji. Zmieniła się ochrona, zmieniono system pilnowania Wałęsy. Ale nie da się do końca upilnować, jeżeli trzeba, to zawsze można do takiego spotkania doprowadzić.

\* \* \*

Trudne decyzje podejmowaliśmy w TKK w głosowaniu. Inne – na zasadzie dogadywania się. Czy ogłaszamy strajk generalny po tym, jak milicja zabiła manifestantów w Lubinie 31 sierpnia 1982 r., czy też kwestia strajku generalnego po delegalizacji Solidarności – to nie były błahе decyzje. Sprawa jedenastki, która siedziała w więzieniu – czy mamy apelować do nich, żeby wyjechali...

Jesienią 1982 r. na spotkaniu TKK w Krakowie Władek Hardek wysunął propozycję, żeby stworzyć podziemny system sądownictwa, kodeks karny itd. Szumiejko tylko trochę dyskutował na ten temat. Chyba się wstrzymał. Ja byłem przeciwny i Bujak był przeciwny. Uważałem, że jeżeli powstaje prawo, to ma to coś z tajnego państwa. Powstają struktury, które wymuszają pewne zachowania. A my oddziaływaliśmy na ludzi siłą autorytetu. Robili coś, bo chcieli to zrobić, a nie dlatego, że była

struktura, która kazała egzekwować. To byłaby próba konstruowania czegoś w rodzaju państwa podziemnego, a myśmy ciągle uważali, że w ówczesnej sytuacji geopolitycznej nie ma to najmniejszych szans. Trzeba łapać przyczółki i w ten sposób z ludźmi coś budować. Trzeba dogadać się w jakiejś sprawie. Mimo tego co się działo, ciągle wierzyliśmy, że sytuacja wymusi porozumienie.

Podczas głosowania w TKK w sprawie strajku generalnego na wypadek delegalizacji Solidarności wszyscy byli za strajkiem, nie dało się podjąć innej decyzji. Ale 11 października 1982 r., natychmiast po delegalizacji Związku, zastrajkowała Stocznia Gdańska. Nie spodziewaliśmy się, że strajk od razu wybuchnie, a nie można było uruchomić z mety innych zakładów, wymagało to jednak przygotowania. Bujak nie był pewien, czy u niego na Mazowszu jest atmosfera strajkowa. Jakby stocznia strajkowała dłużej, to atmosfera by była.

Kontaktowaliśmy się najpierw przez łączników i to też nas troszeczkę opóźniało. Jak już stocznia strajkowała, zrobiliśmy spotkanie TKK w Gdańsku, żeby na bieżąco reagować na sytuację. Podawaliśmy informacje, zrobiliśmy audycję radiową (wygłosiłem dziesięciminutowe przemówienie). Akcja była skazana na przegraną, bo nie została przygotowana w kraju. Nie było szans na to, żeby strajk wygrał. Wypowiadaliśmy się, co robić. Wchodzimy do stoczni czy nie? Każdy mówił, że nie wchodzimy. Gdyby strajk utrzymał się dłużej, to prawdopodobnie jeden z nas by wszedł. Założyliśmy, że strajk w stoczni potrwa trzy dni. Potrzebujemy kilku dni, żeby stworzyła się atmosfera, napięcie w kraju. Wtedy zamierzaliśmy wejść do stoczni, żeby strajk podtrzymać, aby po tych trzech dniach nie padł. Strajk padł po dwóch. Dwa dni to za krótko, żeby cokolwiek w kraju się zaczęło.

Bujak mówił: uruchomię Warszawę, jeżeli strajk potrwa trochę, jeżeli dacie mi czas na przygotowanie nastrojów. Władek Frasyński już siedział od 5 października, więc przyjechał do Gdańska jego następca Piotrek Bednarz, spytać się, co robić. On był nowym człowiekiem w TKK. Po miesiącu też wpadł.

Stocznia padła i nie było sensu robić strajku w kraju. Mogliśmy tylko ogłosić strajk generalny na 10 listopada. Ten strajk oczywiście nie wyszedł, zdecydowało przeciwdziałania bezpieki plus świadomość, że niedawno padł strajk w stoczni.

Wiosną 1984 r. zwrócili się do nas eksperci z okresu legalnego działania Solidarności – Klemens Szaniawski, Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski, starali się jedenastkę wyciągnąć z więzienia. Myśm się nie godzili na to, aby wykorzystać autorytet TKK do zmuszenia ich do wyjazdu.

Mam dokumenty, które są podpisane przez część członków TKK, bo sprawa była pilna i nie wszyscy dojechali, ale każdy wyraził własną opinię. Byliśmy jednomyślni: nie można ich w żaden sposób zmuszać, nie powinniśmy się w to wdawać, to nieetyczne. Przygotowaliśmy wtedy trzy dokumenty. Jeden skierowany do jedenastki, ułatwiający im podjęcie decyzji o wyjeździe, gdyby rzeczywiście chcieli wyjechać, nie mieli siły – o tym, że nie ma sensu siedzieć w więzieniu. W tym dokumencie częściowo przyjęliśmy na siebie odpowiedzialność za to, że oni wyjeżdżają za granicę. Drugi, który zdecydowanie mówił: nie! I trzeci – wyjaśniający list do Jana Józefa Lipskiego, bo on był depozytariuszem obu listów; mógł podjąć decyzję, który list przekazać Michnikowi, Kuroniowi i innym. Miał to zrobić dopiero po kontakcie z nimi, po przeanalizowaniu sytuacji – nie chcieliśmy stawiać ich w sytuacji, że po prostu mówimy: nie.

Zaufaliśmy Lipskiemu, wierzyliśmy w jego uczciwość, szczerą intencję i wycucie tego, co jest dobre, a co złe. No i nie przekazał tego listu dopuszczającego emigrację. Oni zostali wypuszczeni i bez tego, bez żadnych zobowiązań.

\* \* \*

Wpadłem w Więsiarach 8 czerwca 1984 r. Odbływały się wybory do samorządu (do rad narodowych), więc postanowiłem wyjechać z Gdańska, żeby zejść bezpiecznie z pola widzenia. Wyjechałem na Węsiory, do domku Krzyska Pusza, i zasnęłem. Rano wypłynąłem na ryby. Wróciłem do domu i czułem intuicyjnie, że coś jest nie tak. Gdybym uznał te swoje przeczucia za wystarczający sygnał, to bym zwiął. Ale je zlekceważyłem. No i potem, gdy byłem w środku, to tylko widziałem, jak wybiegają z lasu, wpadają do domu, jakieś 15–20 sekund, podnieśli mnie – i byłem rozebrany do naga. To wyglądało trochę na napad, oni nie w mundurach, ale po cywilnemu, mieli kapelusiki tyrolskie, jakieś pistolety, bagnety, pobawiani jak myśliwi. Skuli mnie, położyli nagiego na łóżko i przeszukali ubranie. Potem, gdy się ubierałem,

to włożyłem inne ubranie, w którym znajdował się kluczyk od kajdanek... Miałem zawsze przyczepiony gumką w nogawce spodni, na dole, kluczyk od kajdanek. Ale cały czas byłem przez nich trzymany, skuty z tyłu i nie mogłem go wyjąć. Zabrali mój samochód, zmienili numery rejestracyjne.

Jak zostałem namierzony? Jest kilka wersji. „Borsuk” taką informację dostał: jeden ze znajomych Krzyska Pusza, który brał udział w organizowaniu zaplecza spotkań TKK – często odbywały się one w Więsiarach – zamierzał pojechać na Zachód po samochód. Nie chcieli go wypuścić za granicę, a od 1 lipca 1984 r. zmieniały się przepisy celne. On chciał za wszelką cenę przywieźć przed tą datą samochód, później to się przestawało opłacać. Nachlał się i poszedł na bezpieczeństwo z informacją o tym, że jak go wypuszczą, to on powie, gdzie jest Lis. Pogonili go. Ale w Gdańsku działała specjalna ekipa z Warszawy, która przypadkowo się o tym dowiedziała. Dotarli do niego i on mnie wydał. Już w 1983 r. się dowiedzieliśmy (przypuszczam, że od Hodysza), że taka ekipa jest; działała niezależnie od gdańskiej bezpieki.

Druga wersja jest taka, że wydał mnie „Junior”. To są dwie wersje najbardziej prawdopodobne. Inna – to sfera przypuszczeń – że zostałem namierzony przy okazji kontaktów zagranicznych; trafili do mnie, rozpracowując kontakty Milewskiego i jego ludzi.

\* \* \*

Jak jedenastka wychodziła z więzienia, to ja siedziałem. Nawet widziałem, jak Michnika z więzienia wynoszono w kartonie, bo nie chciał wyjść bez procesu. Awanturował się, że nie wyjdzie. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to on. Słyszałem tylko straszne wrzaski, krzyki. Całe więzienie od razu zaczęło tłuc kubkami w ścianę. Potem słychać warkot samochodu, wszyscy do okien, patrzymy, co się dzieje. Na Rakowiecką od wewnętrznego dziedzińca podjechała łada, trzech ubeków wynosi do niej taki długi karton, z którego wystają nogi. Myśm nie wiedzieli, czy to kogoś zabili... A to Michnika wsadzili do łady i odjechali.

Gdy wyszedłem z więzienia – pierwszy raz 8 grudnia 1984 r. – nie wróciłem już do podziemia. Tak było lepiej, bo w trakcie nieobecności zawsze ktoś wchodzi na twoje miejsce. Tworzy się nowe kierownictwo i nie może być tak, że ten, kto już się zaangażował w działalność,

wypada, bo ten pierwszy go wypycha. Kierownictwo miało własne sposoby funkcjonowania, metody działania – one oczywiście zmieniały się z czasem. Nie mogłem w to ingerować, mogłem jedynie pomagać. I to robiłem.

Na moje miejsce wszedł Borusewicz, ale też go aresztowali (8 stycznia 1986 r.). Po nim Lech Kaczyński – wszedł do RKK, ale nie funkcjonował pod nazwiskiem. Formalnie nie był członkiem TKK, jednak brał udział w spotkaniach z ramienia Regionu Gdańskiego. Był też Jacek Merkel, który również w strukturach funkcjonował jako osoba, która się nie ujawniła z imienia i nazwiska. Odstąpiono od zasady działania w TKK tylko pod swoim nazwiskiem. Zmuszała ona do całkowitego zejścia do podziemia, odizolowania się od rodziny itd., a część działaczy nie chciała tego robić, dlatego zapadła decyzja, że metody mogą być różne – jedni funkcjonują w podziemiu, inni funkcjonują niejawnie.

Po wyjściu z więzienia pełniłem rolę działacza jawnego, który przede wszystkim ma budować autorytet podziemnego kierownictwa. Mieliliśmy oczywiście z nimi kontakt, mogliśmy przekazywać swoje sugestie. Znałem większość mieszkań konspiracyjnych, w których oni się poruszali. Mogłem w każdej chwili do takiego mieszkania trafić, ale byłbym idiotą, gdybym coś takiego próbował zrobić bez konsultacji z nimi.

Na wolności byłem jednak tylko dwa miesiące – zorganizowaliśmy jedno spotkanie z TKK, we Wrzeszczu, w którym uczestniczyłem razem z Adamem Michnikiem. Chcieliśmy pokazać, że ludzie, którzy wychodzą z więzienia, nie przestają działać, choć w trochę inny sposób. Poza tym chcieliśmy porozumieć się z TKK co do naszej roli. Jesteśmy przedłużeniem podziemnego kierownictwa Związku na powierzchni. To, czego nie można robić w podziemiu, my będziemy robili.

Wypuścili mnie w grudniu, w styczniu było spotkanie, a w lutym znowu mnie zamknęli. Po moim drugim wyjściu z więzienia (we wrześniu 1986 r.) ponownie zajęliśmy się – ja, Michnik, Frasyniuk, Bujak – przygotowaniem do działalności jawnej. Rozmawialiśmy z różnymi ludźmi, spotykaliśmy się z Bronkiem Geremkiem, Tadeuszem Mazowieckim, Heniem Wujcem, Januszem Pałubickim, Lechem Wałęsą oczywiście – i uznaliśmy, że trzeba na powierzchni powołać Tymczasową Radę Solidarności. Powstała ona w Gdańsku. W spotkaniu uczestniczyło chyba czternaście osób, ale nie wszystkie weszły w skład Tymczasowej Rady, np. eksperci nie

wchodzili. Weszli tylko działacze dawnej podziemnej TKK. Chodziło też o to, żeby nie wpuścić sobie „szczura” i nie ściągnąć jakichś agentów. Nie chcieliśmy przyjmować ludzi tylko dlatego, że byli kiedyś członkami władz Związku. Baliśmy się tego, choć oczywiście każdy mógł sobie sam działać, jeżeli chciał. Andrzej Słowik, Jerzy Kropiwnicki i inni mieli pretensje, że nie znaleźli się w Radzie. Powołali Grupę Roboczą, która miała być kontrpropozycją.

Tymczasowa Rada Solidarności zabierała głos na zeewnątrz w sprawach istotnych. Głos podziemia nie był tak słyszalny, nie mieli możliwości wypowiedzenia się na bieżąco. Uzgodniliśmy, że sfera TKK to głównie działalność podziemna, czyli druk, kolportaż itp. Potrzebne były jednak też kontakty z politykami z zagranicy i w kraju, ustalanie płynnej strategii działania, także jawnego, wydzieranie po kawałku sfery wolności.

Spotykaliśmy się w TRS raz na dwa miesiące lub raz na miesiąc. Często najpierw musieliśmy się schować, bo bezpieczeństwa wiedziała, że będzie posiedzenie i nas zatrzymywała, żeby je uniemożliwić. Raz mnie zatrzymali, gdy jechałem na spotkanie samochodem; samochód odstawiono na policyjny parking, a mnie do aresztu na 48 godzin. Zazwyczaj jednak udawało się jakoś uniknąć zatrzymania i docieraliśmy. Spotkania odbywały się głównie w Warszawie w jednym z kościołów na Żoliborzu. Brało w nich udział mnóstwo osób nienależących do TRS. Przyjeżdżali z różnych regionów działacze Solidarności i doradcy. I dyskutowaliśmy, bo trzeba było się przygotować do zmiany sytuacji politycznej – już się czuło, że coś musi się zmienić. Prowadzono różne rozmowy, także z ludźmi z obozu władzy. To Władysław Siła-Nowicki, to ktoś inny prowadził rozmowy, dostawał nowe informacje. Zastanawialiśmy się wtedy, czy uda się reaktywować Solidarność, czy będzie trzeba jakąś nową organizację powoływać – bo też wchodziło w grę to, że na Solidarność władze się nie zgodzą, zgodzą się natomiast na coś nowego, aby nie pokazać, że musiały się cofnąć.

Formalnym szefem TRS był Wałęsa. Spotkania w regionie gdańskim organizowali ludzie z Gdańska (np. Krzysiek Pusz), w warszawskim – Warszawa. Już nie korzystaliśmy wtedy z tych, którzy się ukrywali. Ale większość spotkań odbywała się w Warszawie. Grono doradców TRS ukształtowało się w sposób naturalny, tak jak w czasie legalnego działania Solidarności – tworzyli je Geremek, Mazowiecki, Wiesław Chrzanowski. Konflik-



tów pomiędzy TRS a TKK raczej nie było. TKK się tylko bała, czy nie doprowadzimy do osłabienia podziemia. Skoro można działać na powierzchni, to czy podziemie w ogóle jest potrzebne? Mówiliśmy, że jest potrzebne, legalnie nie można drukować pism związkowych i opozycyjnych. Natomiast rzeczywiście środek ciężkości – jeżeli chodzi o decyzje polityczne – przesunął się na górę, do sfery działalności jawnej. W podziemiu ubywało autorytetów, przychodzili nowi ludzie, którzy niewiele znaczyli w odbiorze społecznym. Solidarnościowe autorytety zaczęły funkcjonować na powierzchni.

Realnego zasięg wpływów TRS zarysować się nie da, bo myśmy nie organizowali akcji, dzięki którym można by zweryfikować jej siłę oddziaływania. Od tego było podziemie i jego struktury. Myśmy działali politycznie. Sam fakt istnienia jawnej struktury zmieniał sytuację. Niby Solidarności nie ma, a jednak jest. O to nam właśnie chodziło. Nie chcieliśmy posuwać się za daleko, żeby nie zmuszać władzy do rozpoczęcia nowego rozdziału represji, bo gdyby oni zaczęli znowu aresztować, to TRS przestałaby istnieć, nas wszystkich by wsadzili. Ale po amnestii z 1986 r. komuniści oszczędnie gospodarowali aresztami. Chyba dojrzewiali do przekonania, że jednak nie bardzo jest sens kontynuować dotychczasową politykę. Gospodarka się waliła, a świat nie otworzyłby się na współpracę ekonomiczną bez zmian w Polsce.

W Rosji Gorbaczow również został zmuszony do przeprowadzenia korekty stylu dotychczasowego działania. Skończyło się to pierestrojką. Wydaje mi się, że oni to dostrzegali, chociaż jeszcze nie byli gotowi do rozmów z nami – takie decyzje zapadły dopiero na początku 1989 r. Ich własne szeregi były nieprzygotowane na to, że nagle się zacznie rozmawiać z wrogiem, jakim była Solidarność – ci agenci CIA... To wymagało czasu i zmiany polityki informacyjnej, żeby szok był mniejszy.

\* \* \*

Od lutego 1985 do końca lipca 1986 r. siedziałem w więzieniu, więc nie brałem udziału w ówczesnej dyskusji o tym, czy jest szansa na działanie legalne, warto bić się o legalizację Solidarności, czy takiej szansy nie ma. Powołanie TRS było właśnie taką próbą. Ale w 1985, 1986 r., kiedy wciąż siedzieli więźniowie polityczni, trudno było sobie wyobrazić działanie jawne. Władza

nie widziała żadnego problemu w zamykaniu kolejnych, gdyż nie zamykając – z jej punktu widzenia – pokazywała słabość. Stało się to możliwe dopiero wtedy, gdy wypuszczono wszystkich działaczy Solidarności, a władze nie były już skłonne do ponownego zapełniania więzień. Dopóki nie przekraczano granicy, za którą ta groźba istniała, władze nie chciały do tego wracać.

Działaliśmy coraz bardziej jawnie i Tymczasowa Rada Solidarności to już było za mało. Powrót do legalnego kierownictwa Związku sprzed 13 grudnia nie był jednak możliwy, gdyż znajdowało się ono w rozsypce. Część przebywała za granicą, niektórzy okazali się agentami, więc trzeba było zastąpić stare kierownictwo nowym, również wywodzącym się z przedgrudniowej Solidarności, ale sprawdzonym. Tak powstała Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ Solidarność. To nie zostało przeprowadzone demokratycznie, ale my demokrację mogliśmy zaprowadzić dopiero w trakcie wyborów.

Powstanie KKW otworzyło etap, kiedy działaliśmy praktycznie legalnie. Przygotowywała ten proces grupa ludzi wokół Lecha Wałęsy. Wałęsa był w centrum, wokół niego funkcjonowali zarówno członkowie dawnej TKK, jak i TRS, a także Geremek, Mazowiecki, Michnik, Leszek Kaczyński, Krzysztof Puszc. W tym gronie zapadały decyzje dotyczące składu KKW. Spotkania KKW odbywały się w miarę potrzeby raz na miesiąc, raz na półtora miesiąca, na początku w Gdańsku, a później także w Warszawie. W Gdańsku na plebanii u ks. Henryka Jankowskiego, także u ks. Stanisława Bogdanowicza, w Warszawie spotykaliśmy się w jednym z kościołów<sup>9</sup>. Funkcje ekspertów KKW pełniło to samo grono osób. Spotkania protokołowano, chyba Andrzej Celiński to robił i odpowiadał za przygotowanie.

Wydarzenia 1988 r. pamiętam jako ogromny młyn, wszystko się mieszało. O decyzjach często dowiadywałem się, gdy już zapadły. Była szarpanina, przepychanie. Ja organizowałem swój dział współpracy z zagranicą, wracałem do ludzi, z którymi współdziałałem w latach 1980–1981 lub w podziemiu. Brałem udział we wszystkich spotkaniach, ale dynamika była taka, że wielu sytuacji nie pamiętam.

To stan gospodarki zmuszał władze do rozmawiania o ustępstwach politycznych. Myśmy widzieli, że sytuacja gospodarcza jest fatalna. Bez otwarcia na Zachód, bez zmian społeczno-gospodarczych i politycznych istniała

<sup>9</sup> Zapewne chodzi o kościół pod wezwaniem Dzieciątkła Jezus przy ul. Czarnieckiego, którego proboszczem był ks. Roman Indrzejczyk. (red.)

cisku, aby wreszcie doszło do rozmów i ustępstw. Mielśmy informacje, m.in. od Władysława Siły-Nowickiego, który wszedł do Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa PRL gen. Jaruzelskim (1986). To była pierwsza próba otwarcia władzy na ludzi z innych środowisk, delikatna – myśmy jej nie akceptowali. Siła-Nowicki nie poszedł tam z naszym mandatem, ale dostarczał nam stamtąd informacji, np. o stanie gospodarki.

Podstawowym postulatem był dla nas powrót do sytuacji z 1980 r., a więc niezależne związki zawodowe, organizacje wolne od ingerencji PZPR. Stosunek do tej kwestii pokazywał, czy władze traktują rozmowy w sposób wiarygodny, czy to po prostu pic na wodę, czyli dyskusja po to tylko, żeby rozładować nastroje społeczne.

To był papierek lakmusowy. Dlatego w trakcie Okrągłego Stołu tak nam zależało na tym, żeby pokazywać, że Solidarność istnieje, bo przecież oficjalnie pozostawała zdelegalizowana. Władze mówiły, że dopiero na podstawie porozumienia Okrągłego Stołu została ponownie zarejestrowana. Tak jakby nie było ciągłości – tak sobie to komuniści wymyślili. My uważaliśmy, że ciągłość jest. Wszelkie nasze występy w środkach masowego przekazu temu służyły. Mielśmy teczki z napisem Solidarność, podnosiliśmy je jak najwyżej, czasem prawie pod samą brodę, żeby nie dało się obciąć, żeby w telewizji pokazali napis Solidarność.

Oczywiście, były głosy, odosobnione, takich ludzi jak Kornel Morawiecki, że należy z czerwonymi walczyć do końca. Pojawiały się hasła wolnych wyborów, „precz ze Związkiem Radzieckim”. Gdybyśmy je wtedy poparli, to oczywiście nie byłoby Okrągłego Stołu. Strach przed rozliczeniami zmobilizowałby całą bezpiekę i aparat partyjny i nie byłoby szans na to, żeby cokolwiek zrobić. Przecież strajki w 1988 r. nie zakończyły się jednoznacznym zwycięstwem. Wszystkie strajki na Śląsku zostały rozbite. Tylko jeden strajk, w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu, w którym ja byłem i Janek Lityński (Wałęsa też tam później przyjechał), nie został rozbity, mimo że topniała liczba ludzi w nim uczestniczących, bo się bali. Na koniec zostało nas tylko kilkaset osób, zakład był zabarykadowany. Nikt nie wiedział, jak to się skończy, ale panowała duża determinacja. Gdy przyjechał Wałęsa i zamierzał strajk rozwiązać, był taki moment, że go chciano wywieźć na taczce. Potem zmienił front, jak zobaczył, jakie są nastroje i co ludzie myślą. Włączył się w negocjacje – bo była na miejscu komisja rządowa

– i punkt po punkcie zaczęliśmy się posuwać do przodu. Ale trzeba pamiętać, że jeszcze w sierpniu 1988 r. strajki rozbijano siłą.

\* \* \*

Pośrednie kontakty z władzą zaczęły się po 1986 r. Pośrednikiem był ks. Alojzy Orszulik, przekazywał sygnały do nas i od nas. Wałęsa jeździł do Warszawy na spotkania w Episkopacie. Uczestniczyli w nich zazwyczaj też Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Potem informowali o tym podczas spotkań TRS czy (później) KKW w Gdańsku. Przedmiotem tych kontaktów były granice ustępstw ze strony władzy i przekonywanie jej do tego, że nie ma innego wyjścia. Myśmy cały czas mówili, że jeżeli nie wykonają tego jednego kroku, o który nam chodzi, czyli powrotu Solidarności, to wszystko inne nie ma znaczenia ani sensu. A oni z kolei mówili, że mogą zrobić wszystko, ale tego nie. Przez jakiś czas była ściana, ale później zaczęto wysuwać inne, dodatkowe propozycje – może nie Solidarność, a nowy ruch bez tej nazwy. Ta propozycja pojawiła się, o ile sobie przypominam, w 1987 r. Wysyłano sygnały za pośrednictwem Kościoła – czy zaakceptowalibyśmy coś takiego. Po strajkach majowych 1988 r. już było widać, że się coś zaczyna gotować, więc oni też bardziej gorączkowo zaczęli szukać możliwości. Jeszcze w sierpniu ta koncepcja wracała, ale myśmy twardo mówili: nie, chcemy mówić o Solidarności.

Inny nieoficjalny kanał tworzyli doradcy Związku; różni ludzie z obozu władzy spotykali się czasem czy z Geremkiem, czy z Mazowieckim, niby prywatnie, a jednocześnie po to, żeby pewną myśl przekazać, ewentualnie jakąś myśl z drugiej strony usłyszeć. To funkcjonowało mniej więcej od 1986 r. Natomiast bardziej oficjalne rozmowy toczyły się za pośrednictwem Kościoła, a później od 1988 r. przy pomocy naszych ekspertów – Mazowieckiego, Geremka, Andrzeja Celińskiego. Nie było w tym gronie Kuronia i Michnika, bo komuniści ich ciągle wtedy nie akceptowali. Robili problemy – czy Michnik i Kuroń mogą brać udział w obradach Okrągłego Stołu itd. Im ciągle te nazwiska kojarzyły się fatalnie. To też uznawaliśmy za papierek lakmusowy intencji – chcą nam wyznaczać granice, także personalne, czy dają swobodę działania. Rozmowa z Mazowieckim i Geremkiem prowadził ze strony

władz głównie Józef Czyrek. Był też Stanisław Ciosek, który jako minister do spraw związków zawodowych z okresu poprzedniego kontynuował pewne kontakty.

Po spotkaniach, które mieli Wałęsa z Orszulikiem lub Geremek i Mazowiecki z Czyrkiem, oni relacjonowali to, co usłyszeli i wspólnie to omawialiśmy. Odbywało się to w wąskim kręgu, gdyż nie mogło się odbywać w kręgu szerokim. Na gorąco po spotkaniu zazwyczaj musieliśmy parę rzeczy omówić, no a potem rozmowa toczyła się w szerszym gronie decyzyjnym, czyli na forum TRS, później KKW. Oczywiście zawsze pewne niuanse nie trafiały na to szersze forum, jeżeli strony zobowiązywały się, że jakieś elementy nie zostaną upublicznione. Natomiast generalnie intencje były przekazywane.

W KKW ustalaliśmy stanowisko w kwestiach podstawowych – nie odpuszczaliśmy Solidarności. Nawet gdyby eksperci nam sugerowali, że trzeba się zgodzić, a potem najwyżej uchwalić zmianę nazwy, nie zgodzilibyśmy się. Ale nie było takich sugestii. Negocjatorzy mieli od nas pewne wytyczne, choć nie mogliśmy przewidywać wszystkiego i udzielać instrukcji szczegółowych, to nie był czas oficjalnych negocjacji. To był ciągle czas walki i ktoś, kto uczestniczył w spotkaniu, Wałęsa czy doradcy, musiał mieć możliwość podejmowania w razie potrzeby zobowiązań zgodnie z własną wiedzą i dedukcją.

Ekspertci funkcjonowali w ramach struktur, byli traktowani jak równorzędni partnerzy przy podejmowaniu pewnych decyzji, choć oczywiście głosowali tylko działacze, którzy tworzyli ciało decyzyjne. Praktycznie nie istniał podział na związkowców i ekspertów, choć zawsze są ludzie, którzy uważają, że eksperci manipulują.

W strajkach majowych 1988 r. nie brałem udziału, bo siedziałem. Oni wiedzieli, że się szykują strajki i dwa dni przed 1 maja mnie zamknęli – rewencyjnie. Stałem przed kolegium do spraw wykroczeń i dostałem trzy miesiące więzienia. Odwołałem się do sądu i już po strajkach sąd zwolnił mnie z tego oskarżenia – uznał tylko te dwadzieścia dni, które odsiedziałem i mnie wypuścił.

Narastał ferment społeczny, zbliżał się 1 i 3 maja, tradycyjne daty manifestacji, wiadomo było, że my też weźmiemy w nich udział. Zazwyczaj przed takimi rocznicami osoby, co do których oni mieli pewność, że się pojawią na manifestacjach czy akcjach protestacyjnych,

były „zdejmowane”. W każdym razie panowała atmosfera, która pozwalała ten strajk zrobić; to był trochę sondaż, czy jesteśmy w stanie wywołać strajk. Ale to nie była decyzja KKW. Zawsze wychodziliśmy z założenia, że o tym, czy robimy strajk, decydują struktury zakładowe. Nie chcieliśmy palić tych struktur, nie chcieliśmy doprowadzać do sytuacji, w której represje dotyczą przede wszystkim działaczy zakładowych. To od nich zależało, czy zakłady pracy obudzą się do akcji protestacyjnych. Ponieważ była atmosfera strajkowa, oni dostali przyzwolenie od kierownictwa Związku, że jeżeli się uda, to robić. I się udało.

Strajki sierpniowe na Śląsku wybuchły spontanicznie. Myśmy jednak mieli sygnały o tym, że się zaczną, więc jak się zbliżała rocznica Sierpnia '80, to się schowałem, żeby mnie nie aresztowali. Ukryłem się w konspiracyjnym mieszkaniu w Sopocie, jeszcze z okresu podziemia. Gdy wyszedłem z więzienia, to odwiedziłem wszystkie te mieszkania i podziękowałem ich właścicielom. Chciałem też sprawdzić, czy po moim aresztowaniu były jakieś reperkusje, rewizje itd. W niektórych z tych lokali później ukrywał się Borusewicz, gdy miał problem, bo miał w swoim otoczeniu agenta, a nie wiedział kto to i które z jego mieszkań są spalone. Jak się okazało, moje lokale, około dziesięć, nie zostały zdekonspirowane.

W sierpniu 1988 r. dotarłem na spotkanie do św. Brygidy. Był tam Wałęsa, Leszek Kaczyński, Jacek Merkel. Dyskutowaliśmy o tym, czy Stocznia Gdańska ma stanąć. Że trzeba strajkować, to wiadomo. Pytanie dotyczyło czego innego – czy to jest właściwy moment na podjęcie próby rozstrzygnięcia sprawy Solidarności, o co chodziło nam przez te siedem lat od wprowadzenia stanu wojennego. Uznaliśmy, że tak, to jest moment, kiedy trzeba zaryzykować, odkryć struktury, wejść do stoczni. Dlatego w stoczni znalazł się Wałęsa i inni działacze. Zapadła też decyzja, że ja jadę na Śląsk<sup>10</sup>.

Zadanie było trudne. Pojechałem najpierw do Krakowa, do ks. Kazimierza Jancarza. U niego zostawiłem swój samochód, który miał gdańską rejestrację – nie mogłem się nim poruszać, bo natychmiast byłbym „zwinięty”. Musiałem na Śląsk pojechać samochodem z tamtejszą rejestracją. Nie wiedziałem, jak się dostać do Jastrzębia, gdzie w kopalni Manifest Lipcowy powstał

<sup>10</sup> Strajk w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu Zdroju wybuchł 15 sierpnia, w Stoczni Gdańskiej – 22 sierpnia. (red.)

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Cały zakład był obstawiony przez policję i bezpieczeństwo. Najpierw obserwowaliśmy z jednego z budynków niedaleko kopalni, jak działa obstawa, jak oni funkcjonują, jak się zmieniają. Potem pojechaliśmy do sąsiedniej kopalni Borynia, żeby się zorientować, czy można przejść do Manifestu dołem, chodnikami, ale okazało się, że nie można, nie ma dobrych planów, a część chodników została kiedyś zawalona. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko nocą podejść jak najbliżej kopalni i przejść przez płot. Nie wiem, ile ten płot miał, ale dzisiaj na pewno bym go już nie przeskoczył. Najpierw kilkukilometrowy marsz po torach kolejowych, później chyba 500 metrów musiałem się czołgać na brzuchu, a potem w chwili nieuwagi ZOMO, które otaczało kopalnię, podniosłem się z ziemi, wziąłem rozpęd, skoczyłem na płot i na drugą stronę. Zaprowadzili mnie do komitetu strajkowego, tam już byli znajomi, a w środku Janek Lityński.

Dla ludzi w kopalni byłem przedstawicielem Wałęsy i KKW jednocześnie, ale oni wszyscy znali moje nazwisko, kojarzyli mnie z działalnością podziemia. Po co tam pojechałem? Mielśmy doświadczenia z 1980 r., gdy podpisano porozumienie w Szczecinie na dzień przed podpisaniem porozumienia w Gdańsku – nie chcieliśmy dopuścić do takiej sytuacji. W 1988 r. cały kraj nie strajkował, a tylko Wybrzeże i Śląsk. Naszym zamiarem było więc przedłużanie tego strajku, żeby informacja dotarła do wszystkich ośrodków i żeby strajk zaczął się rozszerzać. Potrzebni byli ludzie, którzy mogli pokazać, że to nie jest lokalna inicjatywa, ale sprawa ogólnonarodowa. Poza tym chcieliśmy pomóc sformułować żądania, aby nie było takich, które kompletnie uniemożliwiają porozumienie; chodziło o pewne samoograniczenie w tych żądaniach. Ale może przede wszystkim szło o utrudnienie rozbicia tego strajku, co sprawiała sama obecność w kopalni. Bo władze musiałyby rozważyć ryzyko, że w przypadku ataku ZOMO pobicie mnie czy Lityńskiego odbije się dużym echem.

O tym, że się nas strasznie obawiali, dowodziły komunikaty dyrekcji, która przez cały czas mówiła, że są obcy ludzie na terenie zakładu, górnicy powinni nas usunąć, nie podejmą żadnych rozmów, dopóki my tam będziemy. Wysłano pisma prokuratury o wszczęciu dochodzenia przeciwko nam i ludziom z komitetu strajkowego, wzywano ich do opuszczenia zakładu pod groźbą rozpoczęcia śledztwa prokuratorskiego w związku z tym,

że się tam znajdujemy. To świadczyło o tylko tym, że bardzo dobrze, że tam pojechaliśmy. Wszystkie zakłady na Śląsku zostały rozbite – Manifest Lipcowy nie. To jedyne zakłady, które do końca strajkowały i w którym podpisano porozumienie. Nawet ze Stocznia Gdańską nie podpisano wówczas porozumienia.

Wałęsa przyjechał po to, żeby ten strajk zgasić (do czego się zobowiązał w rozmowie z ministrem Czesławem Kiszczakiem 31 sierpnia). Najpierw został przyjęty pozytywnie, jako przewodniczący Solidarności, ale kiedy zaczął mówić, że będzie Okrągły Stół, Kiszczak obiecał, to ludzie powiedzieli po prostu: nie. Byli wściekli na niego, że tyle czasu strajkują, aby uzyskać najlepsze warunki, inni są zwalniani z zakładów pracy, a oni chcą uzyskać gwarancje bezpieczeństwa dla wszystkich, którzy strajkowali, a tu Wałęsa chce rozwiązać strajk bez zawarcia porozumienia. To zmusiło Lecha do tego, żeby włączył się w negocjacje. W końcu podpisano porozumienie i na jego podstawie można było przeciwdziałać represjom, które się później odbywały. Bo z jednej strony władze mówiły o Okrągłym Stole, a z drugiej strony represjonowano przedstawicieli strajkujących załóg na Śląsku – wzywano do wojska, zwalniano z pracy, wytaczano procesy sądowe. Porozumienie zawarte w Manifestie Lipcowym utrudniało represje na szeroką skalę, choć oczywiście nie uniemożliwiało, bo władza ciągle chciała pokazać, że jest silna, stosuje mechanizm pałki, kija i marchewki, może przyłożyć i może jednocześnie coś dać.

O spotkaniu Wałęsy z Kiszczakiem (31 sierpnia w Warszawie) dowiedziałem się na strajku. Informacje o tym podały media. Powiem szczerze: podszedłem do tego z dystansem. Z tego prostego względu, że Kiszczak to nie polityk, tylko funkcjonariusz policji, Służby Bezpieczeństwa – aparatu ucisku. Było to wbrew zasadzie, którą cały czas wyznawaliśmy: rozmowy, żeby mogły do czegoś doprowadzić, muszą być decyzją polityczną. Należy rozmawiać z politykiem, a nie z oficerem. Stąd moja rezerwa i dystans. Choć nasi eksperci mówili, że w Polsce władzę ma wojsko i policja i to oni decydują, należy więc tę rozmowę przyjmować ostrożnie, lecz nie jest ona niczym nagannym, daje szansę na rozwiązanie problemu. Jak przyjął to komitet strajkowy w kopalni, nie pamiętam, ale chyba raczej pozytywnie, bo to dawało szansę na rozwiązanie niesiłowe, a wokół rozwalano zakłady pracy i wszystkie już w tym czasie były rozbite. Wszyscy liczyli się z tym, że nastąpi atak, oddziały ZOMO

przygotowywały się kilka razy, podjeżdżały, gotowe do natarcia, włączano reflektory lotnicze, ustawione wokół zakładu silniki odrzutowe, żeby wywołać psychozę strachu. Kilka razy symulowano atak i byliśmy przygotowani na to, że nas rozbiją. Porobiliśmy więc barykady, wszyscy chodzili z pałami od kilofów, groziliśmy, że w barykadach są umieszczone butle z acetylenem... Tak nie było, ale świadomie puściliśmy do nich taką informację, żeby liczyli się z tym, że stawimy opór.

Po zakończeniu strajku wróciłem do Gdańska. KKW podjęła decyzję, że reaktywujemy działalność związków zawodowych w zakładach pracy, zaczynamy tworzyć jawną strukturę związkową. Oczywiście spotkało się to z natychmiastowym przeciwdziałaniem. Działaczy wzywano do wojewody na coś w rodzaju rozmów ostrzegawczych. Tylko na Śląsku rzeczywiście stosowano represje, musieliśmy interweniować, także u Kiszczaka. Robił to głównie Władysław Siła-Nowicki, z różnym skutkiem...

Czy były kontrowersje dotyczące koncepcji Okrągłego Stołu? Nie, od początku, od 13 grudnia kontrowersji dotyczących tego, że trzeba rozmawiać, nie było. Myśmśmy zawsze dążyli do rozmów. Okrągły stół, wiadomo, nie ma stron. Ale najpierw musiały się odbyć jednak spotkania przy stołach prostokątnych, gdzie była jedna strona i druga, gdzie się twardo negocjowało. Zanim do tego doszło, należało zdefiniować płaszczyznę rozmów. Najważniejszy był stolik polityczny – o to tak naprawdę szła batalia. Mieliśmy również swoje propozycje, o czym chcemy rozmawiać. Spotykaliśmy się prywatnie w różnych mieszkaniach w Warszawie, żeby coś przedyskutować przed Okrągłym Stołem lub w trakcie obrad. Byliśmy przekonani, że te wszystkie sale w Pałacu Namiestnikowskim (gdzie toczyły się obrady) są na podsłuchu, więc gdy powstał jakiś problem, to ogłaszaliśmy przerwę, wyjeżdżaliśmy, spotykaliśmy w prywatnym mieszkaniu i tam rozmawialiśmy – aby przeciwnik nie znał naszej strategii negocjacyjnej.

Niektórzy działacze, np. grupa z Łodzi czy Andrzej Gwiazda, uważali, że należy uznać, iż dekret o stanie wojennym jest nieważny, Solidarność była, jest i będzie na zasadzie ciągłości. Nam zależało na tym, żeby odnieść sukces, żeby Solidarność istniała, a nie na tym, by tworzyć różnego rodzaju trudności. Wiedzieliśmy, że uznanie dekretu o stanie wojennym za nieważny jest dla komunistów zbyt trudne – to tak, jakby samych siebie uznawali za przestępców. Wtedy nie ma partnera po drugiej stronie, tylko człowiek, który jest zagrożony i się broni. Ale tego rodzaju głosy nie były dla nas złe, bo pokazywały, że my chcemy się z nimi dogadać, ale są też inni, którzy się dogadywać nie chcą. Z punktu widzenia negocjacyjnego było to nam na rękę, skłaniało władzę do kompromisu.

Podczas tych negocjacji obie strony chciały się dogadać. Ja wiem – oni uważali, że ponieważ mają aparat, siłę, są bardziej przygotowani do tego, by skonsumentować to porozumienia. Liczyli na to, że 65 procent miejsc w sejmie i Jaruzelski, który jako prezydent mógł wetować, im wystarczy. Zadbali o to w porozumieniu i myśleli, że uwikłają opozycję w proces kierowania państwem, a świat otworzy się gospodarczo na Polskę. Jednak dla całego bloku wschodniego to był ewenement. Polska jako pierwszy kraj przechodziła tę drogę, była królikiem doświadczalnym, zresztą na własne życzenie – sami podejmowaliśmy decyzję o udziale w tych doświadczeniach. A wszyscy naokoło bali się tego śmiertelnie, Czesi, Niemcy, Rosjanie itd., ale jednak patrzyli, co z tego wyniknie. Zawsze można wszystko zerwać, mogły tu wejść wojska rosyjskie, więc oni czuli się dość pewnie. Świadczy to tylko o tym, że nie znali polskiego społeczeństwa, wciąż myśleli, że są w stanie wszystko kontrolować. Okazało się, że nie, bo szybko te 65 procent zamieniło się na mniej niż 50.

*Relację przeprowadził Piotr Adamowicz*